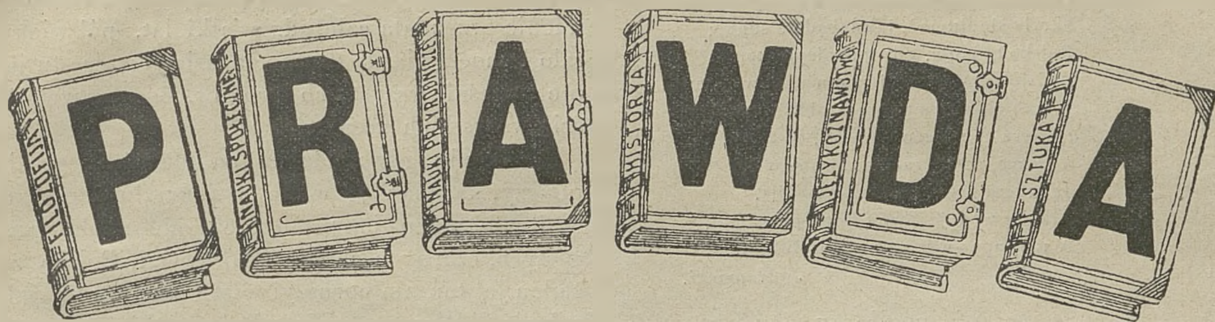
Nr. 36 (1495) Warszawa, 4. Września 1909 r. **Rok XXIX.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

...Bądź z nami,
Najczystszy Duchu Narodu,
Któryś nam żywota słowo
Rozgrzmiał z siłą piorunową
Nieśmiertelnymi pieśniami,
Od słońca wschodu — do słońca zachodu!

Tyś nam był zjawion w ciele
Orlowem i słowiczem...
Tyś całopalnym zniczem, —
W pieśni naszej kościele,
W pieśni naszej gontynie,
Gdzie duch nasz trwa zaklęty,
Póki mu noc nie minie, —
Spłonął, jak gorzka myrra, i jak hyzop święty.

Tyś wstąpił na stos ofiarny
Weneda z dłońmi skutymi,
By popiół męką ciężarny
Zrodził mściciela swej ziemi.

. . . .
. . . .

O, siedmioskrzydły Serafie,
Któryś prorockiemi laty
Wyrzucił — piorun złoty —
Na ogromny ocean,
I na koralowej rafie,
Jak gdzieś śród polskiego łanu,
Stanął, i wszechżywota wysłyszał nam hasło!

Tyś wzniósł pochodnie niezgasłą,
Gdzie była ciemność i trwoga.
Tyś obwołał na świat cały
Moc męczeństwa i moc chwały:
Ludy! przez Polskę idzie ducha droga!

Tyś dał nam wielkie prawo
Bólu, co rzeźbi krwawo
Nowy kształt życia i zmartwychwstania,
Tyś nam dał zwiastowanie
Wielkiego prawa ofiary,
Co w proch rozrzuci świat stary,
Aż nowa zorza nad ludami stanie
I ziemię majem rozjarzy.

Oto się u twych ołtarzy
Nieskalanego piękna ciśniemy z tęsknotą.
— Daj nam tę pochodnię złotą,
Tę twórczą żagiew żywota,
Co nieśmiertelne skry miota
Na martwe dusz naszych pola!.
Niech zstąpi na nas pieśń - moc i pieśń - wola.

Chcemy proroka...
Chcemy Króla-Ducha...
Chcemy wieszczego oka,
Chcemy wieszczego ucha,
Co krok idących czasów dojrzy; dosłyszy.
Chcemy serc przysięgłych bicia,
Chcemy chorągwianych szumów,
Chcemy dzwonów, wrzących tłumów,
Chcemy czynu! Życia!..
... Bądź z nami!

Marja Konopnicka.

Słowacki i potomność.

Jeżeli kiedy jasna i spokojna
Obrócisz twoje rozwidnione oczy
Na groby nasze, gdzie nas robak toczy;
Gdzie urny prochów pod wierzby wiosenne
Skryły się dumać, jak łabędzie senne;
Polsko ty moja, gdy już nieprzytomni
Będziemy, wspomnij ty o nas! o! wspomnij!
Wszak myśmy z twego zrobili nazwiska
Pacierz co płacze i piorun, co błyska,
A dosyć, że się zastanowisz chwilę,
Jaka tam cisza na naszej mogile,
Jak się wydaje przez Boga przeklęta,
A nie zapomnisz ty o nas o Święta!

J. Słowacki.

Jaka tam cisza na tej mogile w obcej ziemi co w „niepłakanej trumnie" kryje zwłoki poety tułacza! Samotny w życiu, samotny w chwili zgonu, osamotniony i daleki po śmierci — całe istnienie swoje zaklął w jedno wielkie westchnienie tęsknoty, co duszę jego niosła do ojczyzny. Tą tęsknotą przesiąknął jego daleki grobowiec, bo on był „jako człowiek, co zazdrości mogił popiołom" i dziś jeszcze bezsenne prochy jego „w straż nieoddane kolumnowym czołom" — wołają z obcej ziemi: „Smutno mi Boże!"

Słowacki nie żył ani teraźniejszą chwilą, ani otaczającą rzeczywistością; myślą sięgał zawsze poza grób własny, w przyszłość, która dla nas jest życiem, dla niego — naszym o nim wspomnieniem. Jeszcze dzieckiem modlił się o smutne życie i nieśmiertelną sławę, o tę nieśmiertelność, która w naszych duszach przedłuża jego własne istnienie. Żył dla potomności — a więc dla nas. A jego pragnienie sławy nie było małym, nizkim uczuciem płytkiej, żądnej poklasku próżności. O nie! była w nim wielkość i poczucie własnej twórczej siły, tej „siły fatalnej", która nas „zjadaczy chleba" w „anioły" kiedyś ma przemienić. Nie dla siebie — dla Polski sławy pragnął, bo wiedział, że ma moc opromienić ją blaskiem, że jego natchnienie stanie się brylantem w koronie jej wielkości.

Wszakże miał dopiero 25 lat, gdy pisał do matki: „Otóż widzisz, Mamo, ja zawsze taki sam. Ciągle układam kamyki na własny grobowiec, a życie puszczam mimo siebie. Wszystkie przyjemności życia mijają mnie i obchodzą kołem mówiąc: „Nie przeszkadzajmy temu człowiekowi, on o przyszłości pogrobowej marzy". O, Mamo, ale ja jestem szczęśliwy tak, jak jestem i czasem nie mogę zrozumieć, jak inni bez takich wrażeń żyć mogą; zdaje mi się, że chleb, który spożywają musi pachnąć nicością".

Nam dzisiaj trudno nawet zrozumieć takie istnienie całkowicie skupione w świecie własnych myśli, własnej fantazji, wybiegające w daleką przyszłość, której śmierć nie ma być końcem — lecz początkiem. Gdy jednak wzniesiemy się na wyższy, historyczny punkt widzenia, gdy obejmiemy myślą i tamtą chwilę dziejową i te, co po niej nastąpiły — i dzień dzisiejszy, uderzy nas z całą siłą głęboka—niemal prorocza prawda tych wyznań młodzieńczych.

To co dla Słowackiego było jedyną rzeczywistością, było także jedyną wielką i trwałą wartością w ówczesnym życiu narodu. Po 31 roku nastąpiło w naszych dziejach coś jak gdyby mistyczne rozłączenie duszy z ciałem. Ducha narodu uniosła ze sobą w obcą ziemię emigracja; obezwładnione po drgawkach konwulsyjnych ciało padło na rodzimą rolę i pogrążyło się w martwotę letargiczną. Na obczyźnie rozpłonęło olbrzymim ogniskiem słońce narodowej poezji — i niby światło gwiazd odległych płyną ku nam jej promienie przez lata całe, dziesiątki lat, pół wieku przeszło i choć gwiazda dawno zagasła, jeszcze tu jej blask nie rozjaśnił wszystkich mroków, nie nasycił światłością wszystkich źrenic.

Wtedy, gdy zrodzona na obczyźnie grzała serca tułaczy, karmiąc je wiarą w przyszłość, nadzieją powrotu — żaden jej promyczek nie zdołał przedrzeć gęstych, czarnych chmur, które nad Polską zawisły, żaden jej ton nie poruszył ciszy cmentarnej, jaka kraj zaległa. Wszakże w listach do matki, w tych listach, gdzie dusza poety w rzewnej spowiedzi wyznawała — zda się — najskrytsze drgnienie serca — o tym, co treść jego życia wypełniało, mówi jako o „chorobie kuzynki".

A przecież w tym samym czasie pisał książkę „całą o kuzynce", ale tej obawiał się matce przesyłać. Nie dziw! wszak to dzieło — to Kordjan.

To było tragiedją literatury emigracyjnej i to było tragiedją życia Słowackiego.

Najwspanialsze arcydzieła natchnienia, te olśniewające skarby poezji, które dziś jeszcze nasze bogactwo duchowe, dostojeństwo naszego narodu stanowią— powstawały zagranicą, składane w drukarniach cudzoziemców, dla których były tylko towarem. Czytała je garść rozproszonych po obczyźnie tułaczy, pomnażając swoją tęsknotę — tęsknotą wieszczów w rymy zaklętą. Były to niby ziarna ewangieliczne — nie te, które padały na opokę, ale te, które wiatr roznosił i więdły na pustyni. Czyż mogły one wsiąknąć w duszę narodu i jej treść przeniknąć? Czyż mógł się z nich zrodzić czyn? Czyż raczej jedyną dla nich sankcją istnienia nie była nadzieja, że przeżyją swych twórców, że przejdą do potomności, że w chwili pomyślniejszej zgłosi się po te skarby naród—spadkobierca i urośnie, zmężnieje potęgą wieszczów, którzy w chwili pogromu wynieśli na swych ramionach rodzinne bóstwa, by je od zagłady uchronić?

To była owa „twarda służba", o której w „Testamencie" swoim Słowacki wspomina.

„Nieme miał harfy — i słuchaczów głuchych".

„Szedł co dnia drogą rozpaczy bezludną"—a najpiękniejsze jego pieśni — tak jak pieśni ślepego harfiarza greckiego, o którym pisał, częstokroć nie w sercach ludzi, lecz w głębi fal morskich tonęły.

Osamotnienie swoje on sam powiększał. Natchnienia jego unosiły go na takie orle szlaki, że słuchaczom tchu nie stało, by za nim podążyć i „skarżyli się na jego ciemność" — albo też poezją jego nazywali „piękną świątynią bez Boga" — gdy on stając „na niejednej górze" „bliżej chmur co grzmią niż ludu, co szczeka" kruszył piorunami swych strof „stare drewna" przesądów czczonych jako bóstwa.

Czasem gorycz w nim wzbierała i „gryzł sercem", a potym znów ogarniało go miękkie rozrzewnienie i głosem płaczącego dziecka upominał się o swe synowskie prawa do serca matki

Ojczyzny, która krwią i mlekiem płynna
I która także mnie kochać powinna.

Przypomnijmy te słowa — dziś gdy minęło sto lat od jego urodzenia, sześćdziesiąt od jego śmierci. Ojczyzna kochać go powinna. Przecież on dla niej „sterał lata swoje młode" — a póki żył i tworzył, jak Anhelli „opętany przez anioła" poezji, to i jego anioł po smugach światła płynął zawsze — zawsze w stronę ziemi rodzinnej. Już pierwszy dźwięk jego lutni zagrzmiał, jak pobudka. A potym przedwcześnie zwarzone zawodami życiowymi młode serce rzuciło w niebo gorącą prośbę:

Boże! zdejm z mojej duszy jaskółczy niepokój,
Daj życiu duszę i cel duszy wyprorokuj—
Jedną myśl wielką rozniecć, niechaj pali żarem,
A stanę się tej myśli — narzędziem, zegarem,
Na twarzy ją pokażę, popchnę serca biciem,
Rozdzwonię wyrazami — i dokończę życiem —

I rozpłonęła wielka myśl w piersi Kordjana i zaniosła go do kraju: „Oto Polska! działaj teraz!"

Czas działania trwał krótko; ponim zaszła długa noc cierpienia. Wyobraźnia poety w ślad za jego najgorętszym ukochaniem zanurzyła się w mroki podbiegunowe, nad obrazem męczeństw cichych, ofiarnych rozetliła blask zorzy północnej, na sybirskich śniegach oblanych księżycowym światłem zbierala ze czcią święte relikwie i stworzyła najcudniejszą symfonję smutku, którą nazwał — Anhelli.

Ta sama gorąca miłość, która dla otwartych ran miała kojący balsam rezygnacji, wybuchala pianą gniewu i jadem goryczy nad małością i nikczemnością serc „w których nie trwa myśl ani godziny". Nikt ze współczesnych nie mówił narodowi tak gorżkich i bolesnych prawd, jak ten poeta, na pozór tak daleki od rzeczywistego życia. Gdy inni ubóstwiali cierpiącą ojczyznę, on sięgnął „do wnętrza trzew i zatargał" — „Pawiem narodów byłaś i papugą", wołał z goryczą, a okrzyk ten bolesny, który jego własne serce rozdzierał, gdyż i on był „smutny i sam pełen winy"—w owej epoce budzącego się już mesjanizmu wstrząsał jak bluźnierstwo. Któż dziś jednak zaprzeczy, że taki właśnie głos pogardy smagający „wężowym biczem" budził do życia i z wiary w życie płynął.

Kanonizacja następuje dopiero po śmierci; on nie kanonizował złożonej w grobie matki, bo chciał by ożyła. Nie chciał zmienić ziemskiej doli „w żywot ducha na księżycu", bo wiedział, że tkwią w narodzie siły, które go odrodzić mogą.

Wierzył w lud polski. Nie oczekiwał i nie pragnął cudu tego, co go zapowiadał Krasiński: „Z szlachtą polską — polski lud." — To marzenie, to był dla niego „sen na końcu pieśni." — On jednego tylko znał szlachcica, który

serca męką
Zamiarami choć nie skutkiem,
Wielkim, cichym, dumnym smutkiem,
Pełną zawsze darów ręką,
Smętną jakąś nieszczęść sławą —
Był szlachcicem i miał prawo.

Gdy ten „poszedł gnić między królami" — nie stało już nikogo, bo „W magnatach serce chore: Wąż im sercem a proch rdzenią."

Ale oto wzbiera nowa fala czynu:

Duch się wdziera
Zewsząd i podważa wieże—

Cóż że niesie „Komet wichry i płomienie"? On go nie probował zatrzymać krzykiem strachu, bo „miał tę pokorę, że żadnego nie klął ruchu" widząc, że bezwład — to śmierć.

On „kochał lud — więcej niż umarłych kości."

„Polski lud — to ojciec twój!" wołał do Krasińskiego.

Zeń jak z cierniowego krzaka
Gotów znowu Bóg wybuchnąć
Z wichru mając twarz i lice,
I na ciebie jak na świecę
Iść i dalej pójść i zdmuchnąć!

Wierzył w potęgę młodości, która kruszy stare spróchniałe formy, a święta „jutrzenkami i błyskaniem" zagrodzi drogę „Charonowej łodzi" pełnej trupów; czcił ogniste meteory „myśli, w których błyska nowy duch i forma nowa" — wierzył, „że ludy płyną jak łańcuch żórawi w postęp" — i mimo wszelkich bolesnych zawodów wiara ta nie opuszczała go aż do ostatniego tchnienia.

„Zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei" wołał jeszcze z nad grobu ten „sternik duchami napełnionej łodzi" „co tak cicho odleciał, jak duch gdy odlata."

A choć imię jego tak przeszło, jako błyskawica, choć ani dla lutni swej, ani dla imienia dziedzica nie zostawił, coraz to nowe pokolenia czerpały z tej świętej puścizny, którą nam w „Testamencie" przekazał. Znaleźli się i tacy „co przed narodem nieśli kaganiec oświaty" i inni „którzy szli na śmierć po kolei, jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec."

Ale daleko nam — daleko jeszcze do tego, by się dokonała w pełni jego ostatnia wola, by się ziściła jego gorąca niezłomna wiara. Jeszcze nie porzucono wszystkich dróg kłamnych, przed którymi ostrzegał; jeszcze lud za nim nie poszedł; jeszcze gniecie duchy forma, która „kuta od tysięcy lat na świecie" i jeszcze „stoją na głowach braci" ci co

Chcą zawrócić w stare łoże
Nowe fale — rzeki Boże...

I jeszcze nie przytuliła ziemia rodzinna śmiertelnych szczątków tego, który tak tęsknił i tak marzył spocząć na jej łonie macierzyńskim, a przez całe życie układał kamyki na swój własny grobowiec.

„Matko moja, kiedyś w Westminsterze naszego kraju może mi dadzą kąt jaki!" pisał z Genewy do matki w marcu 1833 roku.

„Śmiej się ze mnie, ale ja czuję, że mam w sobie duszę sławy, która ze mną umrzeć nie może."

Ta wiara była jedyną jego osobistą rozkoszą; to marzenie jedynym osobistym pragnieniem nie opuszczającym go w ciągu całego życia. Czasem w przystępie ironji nazywał je „smutnym głupstwem ludzi"— czasem w proroczej wizji widział swój grób samotny, opuszczony, jakby od Boga przeklęty; czasem rozrzewniało go bolesne przeczucie, że „wszystko go wstrzyma w obcej ziemi łonie"

Umarłym może jedną chwilę wcześniej —
Nim zmartwychwstanie twoje—o Syjonie!

że rycerz skrzydlaty, który obwieści nową jutrznię światu, zastanie go — jak Anhellego — martwym na ziemi wygnania.

Jeśli dziś ojczyzna kocha go tak — jak powin-

na — to przecież zbliża się chyba chwila, gdy dzwon Zygmunta obwieści jego pośmiertny powrót do rodzinnej ziemi i otworzą się wrota polskiego Westminstera dla królewskiego syna pieśni.

I. Moszczeńska.

Słowacki a Mickiewicz.

Na początku XIX w. — pod wpływem rozmaitych czynników — poczucie narodowe w Polsce wybuchło z siłą tak natężoną i nieprzepartą, jak w żadnym innym kraju i, o ile siła ta miała się wyrazić w poezji, musiała być to również poezja o niesłychanym natężeniu.

Naród polski w początkach XIX w. znalazł się w zupełnie wyjątkowych warunkach. Zdawało się, że zawisnął nad nim wyrok zagłady; że losem jego w tym nowym porządku rzeczy jest — zniknąć z powierzchni ziemi. I przez naturalną reakcję obudził go do życia ten głos, który niegdyś zabrzmiał nad wygnańcami z Edenu: Rośnijcie i mnóżcie się!

Inne narody walczyły o prawa, o konstytucje, o układ polityczny: Polacy walczyli przedewszystkim o pierwiastkowy fakt bytu.

To też nikt na początku tego stulecia nie mógł tak głośno domagać się prawa bytu, jak ten naród, w którym warunki historyczne obudzić musiały z siłą najżywszą ten zasadniczy instynkt ludzi i narodów.

Być albo nie być! oto jest pytanie, które stanęło wobec Polski na początku wieku. W narodzie takim musiał się zjawić gienjusz, któryby temu narodowi prorokował: Być! — któryby ten instynkt upotężnił i uwiecznił. Musiał się zjawić w nim Mojżesz, któryby naród swój wydobył z egipskich mroków nicestwa na światło istnienia—któryby prawa jego bytu stwierdził, określił i stworzył.

Takim gienjuszem był Mickiewicz. On jest inicjatorem poezji polskiej, osią bytu narodowości polskiej. W Mickiewiczu poezja ta wyraziła to, co w narodzie jest rzeczą elementarną: instynkt żywota.

Wyraziła ona ten instynkt silniej, niż jakabądź inna, gdyż sama podstawa była zagrożona i tym silniej, że w swoim okresie historycznym Polska tego instynktu nie miała lub miała go w mierze niedostatecznej. Stąd ogromne napięcie tego instynktu, który umocnił i utrwalił Mickiewicz, dając Polsce mannę, co jej głód bytu wiecznie zaspokajać miała.

Dlatego, odczuwając bezwiednie tę prawdę, że w poezji Mickiewicza zogniskowało się niejako samo życie ducha Polski — naród cały ma dla niego taką cześć, jaką oddaje się prorokom.

Poezja Mickiewicza — to życie samo — i otóż my, nie odróżniając już poezji od życia, czcimy go, raczej dla tysiąca względów, niż dla jego poezji. Istotnie życie jego było miłością — a miłość ta rozlewała życie dokoła.

Jasnowidząca ta miłość szukała wszystkich sposobów, aby żywot narodu utrwalić. On pierwszy był objawicielem przyrody polskiej. Stąd ukochanie wszystkiego co narodowe, bez względu na to — czy złe, czy dobre — bo kto kocha po macierzyńsku, kocha zarówno wady jak i zalety umiłowanych.

Stąd Wallenroda demonizm, stąd opętanie i objawienie Konrada, stąd Księgi Pielgrzymstwa, stąd litanja: O wojnę ludów powszechną, błagamy cię, Panie! — Stąd wreszcie cała ta modlitwa mistyczna, jaką jest czwarty rok wykładów o literaturze — gdzie, poprzez wszystkie osłony mesjaniczne przeziera jedna myśl, całe praktycznego znaczenia: myśl obudzenia we Francuzach wiary w potrzebę odnowienia Polski; nawzajem i Mickiewicz wierzył we Francję, a zwłaszcza nadczłowiek Napoleon był mu pobudką daleko sięgających marzeń.

Oczywiście najwyższą i ostateczną formą bytu dla Mickiewicza była niepodległość Polski. Rozumiał on, że ten naród niepodległy — będzie to naród wyjątkowy, wyższy nad inne ludzkie plemiona, naród arcychrześcijański, a którego żywot przyszły stanie się realizacją słowa bożego na ziemi. Owszem i dziś — i w przeszłości widział Mickiewicz śród swego narodu cechy nadludzkie, pomazańswo boże. Jeżeli zaś dostrzegał w nim jakie błędy — to miłość niosła za sobą przebaczenie, gdyż ponad wszystko inne bolało go cierpienie tego narodu.

Bądź jak bądź — Mickiewicz z potęgą niesłychaną dał życie nieśmiertelne swemu narodowi i mógł powiedzieć:

Jam w nią Ojczyznę wcielony...
Ja i Ojczyzna — to jedno.

Przez Mickiewicza w krew i duszę Polaków wpłynął instynkt bytu, organiczny i niepokonany. Hamletowskie pytanie: Być czy nie być! znalazło odpowiedź.

Naród powiedział: *być* i przez Mickiewicza—*jest*.

Zadanie, jakie Mickiewicz postawił narodowi swemu, rozwiązane zostało prawie w całości; słowo, którego on był wcieleniem — stało się ciałem.

Z zasady życia płynie u Mickiewicza zasada miłości; z miłości nowe życie wypływa. Ale to nowe życie nie jest już życiem instynktowym, nie jest już *życiem dla życia.* Jest to życie świadome i twórcze.

I rzeczywiście, poeta, który się zjawił po Mickiewiczu, nie mógł tego samego ducha wywoływać: musiał z konieczności iść dalej.

Wiktor Hugo powiada: Jezajasz nie powtarza Mojżesza... Zaczyna tam, gdzie ów kończy.

Po Mickiewiczu przyszła i przyjść musiała nowa poezja, która już nie zasadę bytu wieszczyła, ale zasadę rozlewności bytu, przewyższenia życia, zasadę nadżyciową.

Poetą, który po Mickiewiczu się zjawił i który musiał się zjawić — był Juljusz Słowacki.

Jeżeli Mickiewicz był Mojżeszem poezji polskiej, Słowacki był jej Jezajaszem. Między Mickiewiczem a Słowackim było za życia pewne przeciwieństwo, które i dziś się wyraża w tym, że jedni więcej chylą się do Mickiewicza, drudzy do Słowackiego. Są nawet tacy, którzy poniżają jednego kosztem drugiego.

W istocie stanowili oni dwa bieguny, raczej dwie koordynaty ducha narodowego — i dlatego właśnie owi — na dwu krańcach stojący bogowie — mieli ze sobą więcej spólnego niż sami sądzili.

Wyrażają oni statykę i dynamikę ducha polskiego.

Mickiewicz jest wcieleniem harmonji nietylko jako dusza, niby helleńską pogodą owiana, jednolita i krystaliczna, ale też jako stanowisko w rozwoju kultury. Wystąpienie Mickiewicza, które współczesnym zalśniło, jakby nagłe objawienie, zdawna przygotowywało się w piśmiennictwie. Zapowiedzi romantyzmu mamy już w fantastyczności XVII w., w Drużbackiej, w Karpińskim, w Niemcewiczu, w Kniaźninie, w tłumaczeniach Osjana, w Woroniczu, w Bardzie polskim... Niezależnie od Mickiewicza ukazała się Marja Malczewskiego. Przed Mickiewiczem Brodziński zaczął pisać *Dwór w Lipinie*, poemat tonem i treścią zapowiadający *Pana Tadeusza.* Z drugiej strony Mickiewicz połową ducha tkwi w XVIII w. i w utworach jego aż do III cz. Dziadów słyszymy echo Trembeckich i Karpińskich.

Słowem, jak w utworach Mickiewicza panuje równowaga i harmonja — tak też w samym sposobie przeprowadzenia reformy literackiej — Mickiewicz wiąże dwa stulecia: XVIII i XIX albo ściślej całą literaturę wieków ubiegłych z literaturą dni nowszych — czyli jest on postacią centralną, osią i kręgosłupem

literatury i duszy narodowej. Jest to wielki inicjator obojga.

Naród który wydał proroka bytu — byt swój unieśmiertelnił.

Romantyzm Mickiewicza jest jeszcze półklasyczny. Jest w nim olbrzymi krok naprzód, ale niema skoku. Słowacki — to jakby skok. Słowacki już się nie wiąże z w. XVIII, ale wychodzi wprost z Mickiewicza, jako dalszy etap. Wydobywa on z jego reformy literackiej te pierwiastki, których harmonijny duch Mickiewicza nie dotknął lub dotknął jeno powierzchownie. Były to, jak je sam Słowacki później nazywał: święte z ducha zaprzeczenia.

Mickiewicz jest twierdzeniem; Słowacki — przeczeniem, z pozoru — w istocie i w nim jest twierdzenie. Przeczenie rzeczywiste znajdujemy dopiero w Krasińskim.

Krasiński niegdyś pierwszy określił tę różnicę między Mickiewiczem a Słowackim.

Mickiewicz to synteza ducha polskiego; Słowacki — jego analiza. Mickiewicz wciela plastykę ducha i języka, Słowacki ich muzykę. Nawet koloryt obu jest różny: jeden realny, określony, wyrazisty; drugi rozlewny, tęczowy, bezcielesny.

Mickiewicz żyje niemal zawsze w jasno zakreślonej przestrzeni trójwymiarowej, Słowacki nieraz w czwarty wymiar ulatuje. Dla tego postaci Mickiewicza są jak malowidła Tintoreta, postaci Słowackiego—jak obrazy Fra Angelica albo jak wizje wywołane z *Inferna.*

Postaci Mickiewicza najbardziej rozwichrzone są zawsze powiązane w całość harmonijną nawet w swoich przeciwieństwach wewnętrznych — i żyją w otoczeniu ludzkim w sposób ludzki.

Postaci Słowackiego są pozaspołeczne i ponadspołeczne, tragicznie oderwane od życia powszechnego Króle Duchy, Araby i Mnichy, Szczęśni i Kordyany, jak się w matematyce mówi, wielkości *irracjonalne*, (wyrażenie A. Małeckiego). Cele postaci Mickiewiczowskich zamykają się zawsze w granicach możliwości ludzkiej: czy to Gustaw rozpacza, czy Konrad Bogu wygraża, czy Wallenrod straszliwą zemstę knuje przeciw zakonowi, czy Grażyna w męskie szaty się przebiera: wszystko to są rzeczy proste, jasne, można powiedzieć „klasyczne".

Dążenia bohaterów Słowackiego są niemal zawsze półobłędne, nadludzkie, czasem przeciwludzkie.

Samego siebie wystawił Słowacki w podziemiach katedry św. Jana, w postaci Kordjana. Stawia on straszliwy plan nadludzkiego niemal czynu. Ale zamiar ten przeraził najśmielszych nawet karbonarów, pięć było tylko gałek za tym czynem...

Takie też było stanowisko Słowackiego w społeczności: jego duch analizy, jego tragiczna muzyka, jego przebywanie poza przestrzenią, hyperbolizm jego postaci, ich niespołeczność i amoralność, ich nieklasyczność oraz irracjonalizm — wszystko to długi czas było bez echa dla ludzkich serc, — i Kordjan tylko pięć głosów miał za sobą.

A cóż jest Kordjan, jeżeli nie Konrad w czynie, Konrad spełniający to, o czym bohater Mickiewicza roi w samotni więziennej?

Zestawienie Konrada i Kordjana raz jeszcze nam wykaże różnicę między statyką a dynamiką duszy polskiej, między Mickiewiczem a Słowackim.

Mickiewicz pomieszcza swego bohatera w samotności, gdzie wieszcz jest samowładnym panem bytu — i Konrad tworzy byt wielki, potężny, czuje się władcą gwiazd i wichrów, mocen jest walczyć z Bogiem i szatanem, światy obalać i tworzyć. Ta wieszcza potęga zawiera w sobie trzy pierwiastki, o których mówiliśmy wyżej: żądzę bytu, miłość narodu i gienjusz twórczy. Słowacki wprowadza Kordjana między ludzi. Pamiętajmy jednak, że Kordjan nie przybył tu drogą pospolitą: ze szczytów góry Montblanc chmura go poniosła do Warszawy. Jeżeli Konrad rwie się w chmury, Kordjan z chmur zstępuje — i oto pomiędzy ludźmi znajduje rozdźwięk: ubiegł ich o mnogie lata; jest tym, czym oni będą dopiero w przyszłości, ale na dziś dusza jego jest im niepojętą. Ściśle ludzki, społeczny, obywatelski — jeżeli tak można się tu wyrazić — Mickiewicz Konradowi każe dumać i tworzyć w samotności. Odosobniony, niespołeczny Słowacki — wprowadza Kordjana między ludzi; w Konradzie jest widzenie przyszłości, wymiarkowanie czasu i miejsca, w jakich ta przyszłość się wcieli. W Kordjanie jest niecierpliwa żądza potęgi i czynu, wola ogromna ale której ludzie, jako do miary jej niedorośli — nie umieją docenić i sami jej dzielność brakiem podsycenia osłabiają. Konrada uratowała harmonja ducha jego twórcy; Słowacki nie miał tej harmonji, inna siła nim kierowała. Kordjan upada, ale Kordjan powstanie; Konrad sam mu dopomoże. Konrad nie wyraża woli czynu, woli potęgi, Konrad wyobraża przedewszystkim wolę bytu i miłości.

Byłoby oczywiście rzeczą jednostronną ograniczać ideję Mickiewicza do instynktu trwania, są w nim prorocze wizje ludzkości, są kościoły mistyczne plemion i duchów, są porywy twórcze w nieskończoność płynące. Ale pierwszą i ostateczną dla niego rzeczą jest samo życie: krzyk woli bytu, jaki on imieniem Polski objawił światu, nieumilknie aż do skończenia dziejów walk międzyplemiennych — i coraz nową podnietę znajdować będzie — w księgach Adama.

Dla Słowackiego sprawa bytu w istocie była już rozwiązaną. Przeciw Mochnackiemu, który wziął za dewizę: Być albo nie być! — pisze Słowacki: Dewiza ta jest wręcz przeciwną wierze powstającego Polaka który ma za hasło: jestem bo jestem, jako duch, który czyni się żywym, nieśmiertelnym i od cielesnych potęg niezależnym.

Owszem, sam ten fakt życia pogrobowego dziwi i niepokoi Słowackiego, jak to wyraża w sonecie *Córka Cerery*, którą Pluton porwał do piekieł.

> Jakaż cię teraz cudotwórcza siła
> Porwie i znowu cudownie przemieni
> W córkę świecącą kłosów i promieni,
> Kiedyś ty piekłu, jak miesiąc świeciła
> I tam, gdzie ludzie jadem są żywieni,
> Tyś nie umarła, lecz jadła i żyła?

Polska bowiem, jak Persefona, zeszła do piekieł, i czyż na niej żadne piętno tego piekła w przyszłości nie pozostanie?

Dla tego Juljusz woła: „Sięgnę do wnętrza twych trzew i zatargam!"

I w Słowackim była miłość, lecz była to miłość zatruta zwątpieniem. Była to miłość, co gryzie. Prawda, *sercem gryzie*, ale może to gryzienie ostrzejsze od zębów. Mickiewicz chciał swój naród ochronić od cierpień; Słowacki — owszem w cierpieniu widział źródło jego mocy.

Mickiewicz był jednym z pierwszych, który widział w Polsce jakoby Chrystusa narodów. Słowacki mówił:—Biada wam, którzy sobie wmawiacie, że krzyżem jesteście podobni do Chrystusa, niepomni na to, że Chrystus niewinnie, owszem wolę swą zgodziwszy z wolą Ojca, na krzyżu cierpiał za narody... Owszem podobni jesteście do sług, którzy rozkazu bożego nie wykonali...

Widoczną jest rzeczą, że rozważając przeszłość, Słowacki dostrzegał w niej jakieś przeznaczenia niedopełnione i goryczą był przesycony, że ta „córa Słowa, umiłowana odtąd i na wieki" — nie była tak bez skazy, jakby on ją mieć pragnął.

Słowacki nie wątpił o istnieniu narodu, ale narzucał mu te wewnętrzne męczarnie, ten bezlitośny czyściec dobrowolny, to samokrwawienie ducha, które miało go w przyszłości uświęcić, podnieść i udoskonalić.

Dlatego, kiedy Mickiewicz mówi: Ja i ojczyzna to jedno! - czyli widzi swój naród równie podniosłym i dostojnym, jak jest sam—Słowacki widzi go inaczej.

Cały się stałem ojczyzną — i cały
Stałem się prochem — i cały rozpaczą.
. . . .
Na mojem sercu jak na złotej tarczy,
Sto dzid się łamie i sto młotów kruszy
I sto utkwionych strzał boleśnie warczy
I sto aniołów upada bez duszy —
Myśląc, że serce za wszystko wystarczy —
Wszystko uzbroi sobą — wszystko wzruszy.
A ja co? anioł na dnie mgieł czerwonych —
Pan niewidzialnych duchów — brat szalonych...

Słowacki przedewszystkim dąży do przełamania tych wszystkich słabości, które widzi w życiu swego narodu. Rozszerzenie życia, przewyższenie siebie, żądza wyłonienia z siebie istoty wyższej, oto przewodnia myśl Słowackiego.

Jeżeli Mickiewicz utrwalił i uwiecznił w narodzie swoim wolę bytu, Słowacki wlewa w jego duszę, powoli a nieustannie wolę wielkości. Z chwilą kiedy sprawa istnienia została rozwiązaną, rodzi się pytanie, jakim będzie to istnienie.

Jeżeli mówimy, że Mickiewicz rozwinął w narodzie instynkt bytu, nie znaczy to wcale, aby dzieło jego było zupełnie skończone: jeszcze miljony żyją na ziemiach polskich, o których nie można powiedzieć, że są! Jeszcze w nich należy rozbudzić poczucie istnienia.

Ale ponad tymi miljonami są tysiące, których byt rozwija się w pełni świadomej. Dla nich instynkt bytu, nie może być już rzeczą najpierwszą—i dla tych Mickiewicz należy już w pewnym stopniu do historji.

Dla miljonów, które jeszcze *nie są*, Mickiewicz jest źródłem i krynicą bytu. Gdzie wchodzi Mickiewicz, wchodzi życie i miłość. Gdzie wchodzi Słowacki (który nie wszędzie wejść może) — wchodzi przewyższenie życia i miłości, rozszerzenie bytu, wola wielkości.

Dwie te potęgi, wypływające z dwuch naczelnych poetów polskich, nie zawierają w sobie żadnego przeciwieństwa; druga wysnuwa się z pierwszej, jak jutro z dzisiaj.

Ale jutro przynosi zawsze niespodzianki. — Dlatego, kiedy w miljonach, w większości powstaje przez Mickiewicza wola do bytu, w mniejszości, w tysiącach — zakwita wola do przewyższenia bytu.

Poczucie bytu — jest to rzecz elementarna, najpierwsza, najprostsza, na powszechniejsza: dlatego wyraz jej, Mickiewicz — jest prosty harmonijny, granitowy, wszystkim dostępny, wszystkim zrozumiały, przezroczysty. Poczucie bytu jest niezaprzeczone — i w każdej formie pewne swej własnej istoty, zgodne ze sobą, a zatym pełne spokoju.

Słowacki wyraża uczucie nie pierwotne, owszem wtórne, pochodne, które wtedy dopiero może się zjawić, kiedy poczucie bytu już zwycięzko zakończyło swą walkę. Bez woli bytu — nie masz woli wielkości. Bez Mickiewicza nie masz Słowackiego, ale kiedy się zjawił Mickiewicz, musiał się zjawić Słowacki.

Wola do wielkości nie jest elementarną, nie jest powszechną, nie jest niezaprzeczoną; owszem jest to uczucie niespokojne, pełne trosk i sprzeczności, zwątpień i walki wewnętrznej, uczucie nie wszystkim dostępne, owszem, raczej tylko duszom wyjątkowym i osamotnionym zrozumiałe. Ale choć mniej powszechne — jest równie konieczne i ma swoją siłę fatalną, a biada narodowi, w którym zamiera i znika pragnienie wielkości i przewyższenia bytu.

W istocie nie o byt, ale o wielkość walczą narody. Tragiedja Polski nie na tym dziś polega, że ją chcą unicestwić, ale na tym, że z narodu wielkiego staje się naród mały.

Nie tu jest czas i miejsce mówić o tym, na czym polega małość dzisiejszego narodu polskiego: małość, którą Słowacki już za dni swoich widział i przeczuwał i której się lękał bardziej niż unicestwienia.

Dla Mickiewicza ostatecznym ideałem, odrodzeniem Polski była jej niepodległość, jej odbudowanie: gdyż taką w danym razie jest najwyższa forma instynktu bytu. Mickiewicz wierzył, że w tym narodzie są cnoty nadludzkie, które uświetnią dobę tego nowego żywota i staną się nowym centrum świata.

Słowacki nie dowierzał tym cnotom, Przypomnijmy sobie w *Beniowskim* poetę Suchodolskiego kronikarza konfederacji o którym z ironią mówi Słowacki, że zawsze upiększał rzeczy widziane. Zdaje się, że dla Słowackiego odbudowanie Polski nie byłoby jeszcze jej odrodzeniem, gdyż musiałaby ona przed tym grzechy swoje odkupić — i cudotwórczo się przemienić. — Gryzł też boleśnie swój naród poeta, a choć się skarżył na bezgraniczną samotność na ziemi, choć wołał, że i jego też ojczyzna kochać powinna, czuł, że nie jest kochany i oczekiwał miłości za grobem.

Tylko w krainie snów ukochanym być może ten, co gryzie i męczarnie zadaje.

A co dziwniejsza, że mnię ukochano
Za siłę i za strach i za męczarnie!

Ale i sny się w życie wcielają. Słowacki znalazł tysiące serc, które go ukochały.

Z tego samokrwawienia ducha wyszła niezwalczona potęga narodu.

Idźcie, już teraz nie jesteście sługi
Mojej wściekłości — lecz rycerze twardzi.
Kupiłem naród krwią — i nad jej strugi
Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi.

Nie istniała dla niego sprawa: być czy nie być! on wiedział, że Polska będzie, ale drżał na to pytanie: Jaka? Dlatego wszystkie siły wytężył, aby w tym narodzie wywołać ognie iehowiczne, aby choć torturą ducha obudzić w nim Króla Ducha.

Pokochali go też nieliczni, ale ich liczba rośnie z dnia na dzień... Im bardziej zadanie, jakie narodowi swemu postawił Mickiewicz, staje się faktem dokonanym, tym więcej się otwiera serc, które zaczynają rozumieć i kochać Słowackiego.

I cóż jest wielkość? Nie jest że to jaki teatralny „ułan kolorowy"? Nie — Słowacki ją sam doskonale określił, jako wielkość duchową. W jednym fragmencie porównywa on świat dzisiejszy z Grecją Homera.

Na ukraińskim polu czystym zamek stoi...
Zamiast drzew cytrynowych — stary dąb brodaty,
Zamiast Homera — stary jaki żebrak z lirą.
Zamiast róż — nasze polne ukraińskie kwiaty...
A szlachcice — królowie teraz naszej sceny
Sąsiadują jak Argos król z królem Myceny.
Pieszo mógł Agamemnon, a laurowym gajem
Jeśli gorąco — cieniem idąc i powoli
Po południu wyszedłszy gadać z Menelajem
O sprawie Greków albo o pługach na roli...
I przed zachodem słońca być u siebie w domu.

Rozumiał on, że dwaj o miedzę sąsiadujący gospodarze mogą mieć w sobie królewskie dusze Atrydów, jeżeli w nich rozpalą iskrę bożą.

Kilkakrotnie poeta zajmuje się tą sprawą. W rozprawce *O potrzebie idei* szuka drogi, na której Polska rzeczywiście utraconą wielkość mogłaby odzyskać. Nie szuka on dla niej panowania na ziemi albo na morzu, szuka dla niej idei, a tą ideją jest dążenie do panowania w duchu.

Jakim sposobem Polska ma się stać Królem Duchem narodów? Musi ona wytworzyć w sobie wolę tej królewskości i tego panowania — bo ono całe jest wewnątrz nas, ale w napięciu najwyższym wypromieniuje z siebie panowanie na ziemi i na morzu...

Taka wola może się tylko w tych obudzić, którzy już zdobyli instynkt bytu — i stanęli ponad nim i poza nim — i którzy teraz chcą własny byt przewyższyć, aby rozwinąć jego królewskość...

Zapewne droga to zawrotna i stroma, pełna niebezpieczeństw i przepaści. Jednak dążenie do bóstwa — tkwi utajone w każdym człowieku i w każdym może zakwitnąć. Słowacki chce swój naród „opętać przez anioły”, aby jako naród - duch stanął śród narodów cielesnych. Ale praca to jest olbrzymia i nadludzka — i nieraz może Syzyf w rozpaczy będzie ręce łamał.

Takie zadania postawili Polsce twórcy jej Koranu. Słowo Mickiewicza częściowo już stało się ciałem: naród *jest*, ale dopóki jeszcze gdziekolwiek są dusze, które nie wiedzą o sobie, dopóty Mickiewicz będzie ich poruszał. Pieśni Słowackiego są nie do wszystkich zwrócone: ale jego zadaniem jest wywoływać tych czatowników, co mają budzić swój naród, ilekroć wpadnie w uśpienie.

Miary tego zadania określić niepodobna, gdyż ono niema granicy, a każda wielkość może być przewyższoną.

Mickiewicz, Słowacki — obaj — zbudzili w narodzie swoim pewien nastrój, który sam przez się już ducha podnosi. Jest to nastrój, którego źródło tkwi w obu instynktach i w obu wolach — w woli bytu i w woli wielkości, w Adamie i Juljuszu. Nie powinno się ich nigdy rozłączać.

Antoni Lange.

Zakaz kardynała.

Stało się, co było do przewidzenia.

Pod łukiem zamkniętych podwoi Wawelu stanął książę biskup kardynał Puzyna w szatach pontyfikalnych — i pastorałem zagrodził drogę jednej trumnie, niesionej przez cały naród.

Zagrodził drogę trumnie i narodowi. Postawił swoje liberum veto.

Tacy jak on — biskup, książę, kardynał, wierny sługa narodu i kościoła — nie, kościoła i narodu — albo krócej wierny sługa kościoła — tacy jak on mają prawo wchodzić do tej katedry żywi i umarli, — i niewątpliwie doczekamy się tego zaszczytu, że jego ciało spocznie tamże biskupim zwyczajem, a szlachetne jego rysy uwieczni artysta (niekoniecznie polski) w spiżu albo marmurze.

I będą te prochy przechowywane przez naród na Akropolu, przewodnik kościelny wygłaszać będzie jego budujące nazwisko przed gromadkami pielgrzymów ze Żmudzi, Ukrainy, Poznania, Śląska i t. d. — a jego kamienne oczy strzec będą i nadal podwoi katedry narodowej przed Słowackimi.

Puzyna tam wejdzie — tak. Słowacki nie! Zastąpi mu drogę Puzyna. I ma prawo do tego potrzykroć: jako biskup, jako książę, i jako kardynał.

Bo naród to katolicyzm, a katolicyzm to Puzyna. A Słowacki był tylko człowiekiem szlachty Chrystusowej;—katolikiem w stylu X. Puzyny nie był.

Bo naród dalej to tylko rody, — owe „koło magnatów”, gotowe zawsze stać przy tronach i liczbie mnogiej — a książę Puzyna to tylko wykonawca natchnień tam naszeptanych — czy to będzie hr. Gołuchowski co szepce, czy drugi raz hr. Tarmowski, dla którego Słowacki jest przedewszystkim okropnym demokratą, i z tego być może powodu „ani poetą pierwszorzędnym, ani poetą drugorzędnym jak np. Heine, ani prawym obywatelem”. [1])

[1]) W tomie piątym Hist. lit. polskiej tegoż autora.

Wreszcie jako kardynał, X. biskup pragnie podtrzymać stare tradycje Rzymu, nie te, które go czyniły wielkim, ale te, które go czyniły małym, które mu nakazywały zostawać w tyle ludzkiego postępu, i za to mścić się na nim

W szeregu rzeczy, które Rzym czyniły wielkim było jego poczucie artyzmu. Książę Puzyna jest natomiast poczucia tego zgoła pozbawiony. W czasie restauracji Wawelu dopuszczał do licznych oszpeceń, jakie tam poczynione są i jakie trwać będą niestety może nowych lat dwieście, zanim można je będzie usunąć; dozwalał na niszczenie starych fresków z czasu Jagiełły; decydował w rzeczach najważniejszych, — a wskutek tego, że on decydował, w samym stylu odnowy popełniono błąd zasadniczy, nie zwrócono katedrze jej gotyckiego typu. Trzeba było dopiero presji ze strony opinji publicznej, presji znacznie spóźnionej, aby arbitralna władza księdza biskupa w sprawie katedry uległa ograniczeniu.

W związku z tym można mieć smutne podejrzenie, czy książę Puzyna Słowackiego kiedykolwiek czytał. Rozumie się poza „Smutno mi Boże” i „Ojcem zadżumionych”. Być może że w tym wypadku, dla ułatwienia zakazu, przedłożono mu przed oczy parowierszowe wyjątki z Kordjana i Beniowskiego, ale też i na tym prawdopodobnie zakończyła się lektura — i ksiądz biskup powrócił do Brewiarza.

Przeoczył ksiądz biskup w swoim werdykcie potępienia, że gdyby dzisiaj był czas budowania takich hymnów kamiennych jak katedra w Chartres, w Amiens, — toby postać autora Anhellego i Króla-Ducha umieszczono wśród posągów głównego portalu, jako jednego z tych ludzi, co szli przez ciemność jak pochodnia.

Dawniej, gdy duch Kościoła szedł przodem przez Europę, olbrzymia jego siła ściągać umiała ku sobie każde serce, które biło żywiej, każdy bohaterski czyn ducha. Wpisywała je do swoich ksiąg, a ściany olbrzymich katedr pokryte były rzeźbami scen, posągami ludzi, których sam cień mógł być ochłodą pracownikom żywym —- ku sile nowej.

Dziś czas budowania katedr już przeminął. Kościół, kładąc się ciągle w poprzek ludzkiego postępu, nie tylko stracił swe siły i prawa, ale nawet zagubił zdrowy instynkt odgadywania, intuicję łączenia się z tymi, którzy — jeśli być to może wogóle — mogli ogniem go swoim przetworzyć, światłem swoim przeprowadzić przez przepaść, jaka się utworzyła między jego księgami a naszymi księgami, między jego sumieniem a sumieniem naszym.

I dlatego giest księdza biskupa, wstrzymujący trumnę Słowackiego u stopni katedry, — to nowa przegrana Kościoła.

A do tych przegranych książę biskup krakowski przyczynia się z zapałem bez namysłu. Że wśród młodszego duchowieństwa łamie on jednostki z polotem, że opiekuje się gorliwie procesami religijnymi, — o tym dobrze wiadomo w Krakowie. Ale dwa ciosy zadał ksiądz biskup Kościołowi bardzo serdeczne i głośne. Jeden, to założenie *veta* austryjackiego na conclave w Rzymie, co w skutkach swoich obdarzyło świat Piusem X zamiast Rampollą. Cios drugi, — ten zadany kościołowi w Polsce — to wyparcie się Słowackiego.

Bo gdy za Słowackim stoi naród — jestto przeto zarazem wyparcie się narodu.

Czy to był jednak może głos przekonania, który przez księdza biskupa przemówił?

Liberum veto przekonań zawsze należy uszanować — i rozważyć głęboko. I jeden człowiek może być w prawdzie przeciw całemu narodowi.

Ale ta prawda nigdy nie staje się pasją ślepą. Tylko krzycząca Menada pasji osobistych bywa prowadzona za rękę przez ciemny Dur.

I ten Dur tańczy po Polsce. Klekoce w suche

piszczele, potrząsa ślepym łbem. I ten to Dur z jednej strony, a Menada instynktów z drugiej, prowadzą za rękę naszego księcia — biskupa — kardynała — i stróża kluczów Wawelu.

A przeto — jak on się wyparł Słowackiego, tak jego wyprze się naród.

Weźmie prochy odtrącone i pochowa w Warszawie pod monumentem olbrzymim. Będzie to monument Wolności Ducha — oparty na kościach jej rycerzy — będzie to jej *Wawel Nowy*.

Jednak nie dziś — nie teraz — nie wcześniej, aż wypełnią się czasy.

Aż wypełnią się czasy.

Artur Górski

Słowacki i społeczeństwo.

Zachodzi fakt niezmiernie charakterystyczny: Oto mija sto lat od chwili urodzin wielkiego poety, a dotychczas faktycznie nie wiemy, kim ten człowiek był i jest w kulturze swojego narodu. Na starczy nietakt Puzyny społeczeństwo polskie zareagowało protestem prawie jak jeden mąż, zareagowało, rozumie się, *nie wiedząc*, kim zacz ten wielki Słowacki jest dla polskości. Dotychczas bowiem uczono społeczeństwo pamfletami pr. Tretiaka, Kallenbacha, Tarnowskiego— oszołamiano dźwięczną frazeologją Jellenty. Skąd więc, ten oddźwięk w sercu narodu?

Pytanie to jest niezmiernie ciekawe dla sumiennego spostrzegacza zjawisk społecznych. Prace Małeckiego, Matuszewskiego — te przecież przeszły koło gorejącego krzaka wielkiej Psychy Słowackiego, społeczeństwu polskiemu nie odkrywając istotnych kulturjozoficznych walorów jego twórczości. Jak więc zagadnienie rozwiązać? Jak zrozumieć, że zaszturmowano do kardynalskich wrót nie wiedząc o kogo i dla czego?

Pytanie rozwiązuje się samo przez się. Żywioł społecznych czynów — jest zawsze wytworem rozkaźników wewnętrznych, jakie piastuje każde społeczeństwo. Rozkaźniki zaś społeczne są w masie nieuświadamianym ale istniejącym i wypracowanym kodeksem kultury. Każdy więc naród, jako przedstawiciel kultury, będzie reagował pod kątem swojego wypracowanego rozumienia, które w nim się zautomatyzowało w nieświadomościowy żywioł. Stąd głębiny żywiołu identyfikują się nieraz z głębinami świadomościowych kolizji i wtedy dramat świadomości staje się dramatem żywiołu. Dramat więc walki o świadomość polskości — w społeczeństwie istniejąc jako instynkt—żywioł odezwał się echem,gdy chciano jedną ze świętości tego żywiołu pohańbić. I trafność żywiołu jest zadziwiającym instynktem samozachowawczości społecznej. Należy czcić do głębi ten instynkt — gdyż mimo zupełnego *nierozumienia* twórczości Słowackiego, *odczuto* jego powinowactwo i świętość.

Fakt ten powinien być nauką dla wszystkich tych, którzy chcą wprowadzić świadomość Polską na fałszywe tory. Powinni być przygotowani z góry na fiasko. Wypaczać świadomości społecznej nie można w zupełności; granice podyktuje zdrowy zmysł społeczny, który nie pozwoli się oszukiwać sosfisterją. Gdyby nie ten pewnik, należało by się obawiać, że dziś o Słowackim nie tak gorącym i tłumnym chórem uwielbień społeczeństwo odzywać się będzie. Ileż to bowiem zużyto sił, by go w oczach narodu strącić z piedestału? Grube foljały oszczerstw wieńczono nawet Nagrodami Akademji Umiejętności. A jednak? Instynkt świadomości społecznej nieomylnie postępuje i jeżeli niekiedy zdarzają się anomalje, winą tu jest, że zbyt wcześnie poddano kontroli instynktu społecznego jakąś wartość. Sokratesowy kubek cykuty jest dziełem właśnie tej przedwczesności. Ale biada tym, którzy chcą zatrzymać w rozwoju bryłę świata! Wartości życiowe pokoleń przeszłych dla pokoleń żyjących nigdy nie mogą być fałszowane. Fałsz szalbierzów wylezie i wtedy gore wam wszyscy, którzy z Puzyną spółkę trzymacie!

W ten sam sposób należy wytłumaczyć sobie, że społeczeństwo nie zareagowało dotychczas przeciw Weyssenhoffowskim paszkwilom—studjom. Niedawność śmierci Wyspiańskiego jeszcze niezorjentowała społeczeństwa. Przedwczesność więc jest i tu owym Sokratesowym kubkiem cykuty.

. . . .

Licząc na trafny zmysł instynktu społecznego w stosunku do przeszłości nie należy go utożsamiać z chaotycznym anarchizmem żywiołu społecznego w stosunku do teraźniejszości. I dla tego w myśl światopoglądu woluntarystycznego, który wymaga od człowieka by *świadomie* żył, należy walczyć o uświadomienie społeczne. Słowacki witany żywiołowym okrzykiem zachwytu powinien się stać dla społeczeństwa świadomościowym jego czynnikiem.

Ludzie rozumiejący to, powinni walczyć o mózg społeczeństwa.

I dla tego w dniu urodzin wielkiego pieśniarza śpiewającego niepodległe wyzwolone piękno Polski, należy sztandar walki o mózg, o świadomość zatknąć na baszcie narodowego Wawelu kultury polskiej Krzywda czyniona przez pokolenia temu światłemu duchowi powinna się stać pobudką do walki o dobycie przyczyny tej krzywdy. .

A że przyczyną jest brak *świadomości społecznej* — o nią więc walczyć trzeba.

Eustachy Czekalski.

Przenosiny ciała Słowackiego.

Zamiast wylać kubełek słów tak zwanej czci dla Słowackiego, których rzeka cała wypłynie z pod piór, a gdzieniegdzie i z serc polskich z okazji jego rocznicy, korzystam ze sposobności, aby w paru zdaniach zaznaczyć te odczucia, które budzi we mnie sprawa przenosin Jego szczątków.

Im bardziej olbrzymie jest ludzkie dzieło, tym większy jest rozdźwięk między tym dziełem i drobnymi przedmiotami przez wielkiego człowieka przy wychodzeniu z życia porzuconymi: — o małym, zwyczajnym człowieku może coś mówić jego papierośnica lub spinka od krawatu, ale co te rzeczy mówią o Słowackim? A ze wszystkiego, co po człowieku porzucone zostaje, najmniej w sobie wyrazu ma gnijące jego ciało. Gnijące ciało jest tym, co czyni wielkiego człowieka najbardziej pospolitym, co stawia go na równi ze wszystkimi najmizerniejszymi istotami; — toć ciało to tylko sprawy życiowej opuszczony ekskrement, który jaknajszybciej winien być rozłożony i do ogólnego biegu życia powrócony.

Dlatego, gdyby to odemnie zależało, pragnąłby, aby zniszczono na miejscu. gdzie leży ciało Słowackiego wszystkie znaki, aby ślad wszelki zatarto — bo to wszystko przeszkadza, wstrzymuje sprawę wsiąknięcia szczątków Słowackiego w obieg krwi Ziemi. Tak pragnąłbym dla Jego ciała, bo bliski mi on i drogi bardziej od najdroższych, a tego samego życzyłbym najbliższym moim zmarłym.

Coś wstecznie barbarzyńskiego — gorzej — coś niesmacznego jest w czci ciału oddawanej, w sztucznym przechowywaniu go: I im większe jest dzieło przez zmarłego uczynione, tym silniejsze jest to przykrego niesmaku uczucie.

Niech mi wybaczą, proszę, ci wszyscy, których rażą te pewiedzenia:

— Powiedziałem, co z wierzeń moich religijnych wynika.

A jeśli już koniecznie mamy grzebać w garści zgnilizny porzuconej przez Słowackiego, to chciałbym przypomnieć przepiękny projekt M. Szukiewicza złożenia tych zwłok na granitowej wysepce w głębi Tatr, śród Czarnego Stawu. Szukiewicz dał w swym projekcie cudowną wizję jakiegoś praaryjskiego pogrzebu, który tak harmonizowałby z Królem-Duchem. Nad grobem tym samotnym i dostojnym nie sterczałby czarny krzyż, ni dzwony by nie jęczały.

Marzenie to chciałbym o ton wyżej podnieść jeszcze i nie chować tam kości Słowackiego jeno spalić je na tej skale, na wielkim stosie, z drzewa po całej Polsce wybieranego ułożonym. I popioły Słowackiego wsiąkłyby w jeziora tatrzańskie, skąd polskie rzeki płyną, wzięłyby je w siebie wiatry halne, z których po całej Polsce bohaterski idzie wiew. A skała ta byłaby odtąd ołtarzem narodowym, ołtarzem Króla Ducha, świętym a przeczystym, bo żadnej w sobie nie chowającym zgnilizny.

Ale czyśmy dorośli do tego, czyśmy dość silni na to, my tylu zaborów pokorni niewolnicy, tylu zaborów, z których bodaj najgorszym jest zabór watykański?

Poborca watykański brutalną ręką rzymskiego siepacza znieważył nam świętość narodową. — Co czynić, jak walczyć nam teraz przystoi? — Za słabym sam na to, aby w tak powszechnej odpowiadać sprawie.

Wypowiedziałem się za aryjskim dla szczątków Króla Ducha pogrzebem, pragnąłbym, aby nie przerywano sprawy wsiąkania jego resztek w obieg wszechrzeczy, ale jeśli walka z czarnym zaborem wymaga naruszenia grobu Słowackiego i wstawienia go pod niskie sklepienia kościoła, jeśli dla tej sprawy żywotnej i żywej, bo dzisiejszej, potrzeba przewrócić grób Słowackiego, to gotów jestem stanąć razem z tymi co kośćmi Słowackiego chcą uderzać w Rzym, albowiem w sprawie Wolności Życia nawet kośćmi rodzonej matki walczyć można i należy.

Jan Hempel.

ADAM ASNYK.

Na cześć Juljusza Słowackiego.[1]

Poeto! Oskarżono Ciebie przed narodem,
Że kazałeś bezwładnym poruszyć się bryłom,
Że po śmierci swej niosąc pieśń, jak sztandar przodem
Prowadziłeś bezbronne zastępy na wyłom,
Gdzie bez nadziei zwycięstw, krew lały obficie!
Jeśli to Twoją winą, że budząca życie
Pieśń, jak orkan wstrząsnęła śpiącą grobów ziemię
I na chwilę zmniejszyła nieszczęść naszych brzemię
Krwawe widmo ojczyzny wywołując z trumny,
Jeśli to Twoją winą, że tknięty rozpaczą
Naród chciał zerwać więzy — to możesz być dumny;
Ci którzy ucierpieli najwięcej przebaczą,
I Polska ci przebaczy kochający synu
I nie będzie dla ciebie żałować wawrzynu.
Bo święte hasła Twoje — to nie hasła chwili,
Co przepadają marnie w ciężkich dniach rozbicia;
Wiara Twa nie zawiedzie, miłość nie omyli,
Lecz poprowadzi naród do nowego życia.
Mylą się pokolenia w dróg swoich wyborze,
Ale cel postawiony mylnym być nie może.
Gdyby nie głos natchniony narodowej lutni,
Który nie dał zmęczonym usypiać w letargu,
Czemże byśmy dziś byli? My nędzarze smutni?
Gromadą niewolników na publicznym targu,
Narodem bez przyszłości, bez celu, bez cześci,
Którym pan jego gardzi, chociaż czasem pieści.
Wprawdzieby nas karmiła szczodrzej polska gleba
I plon nasz by nie poszedł na pastwę płomieni;
Wprawdzie byłoby lepiej tym zjadaczom chleba,
Którzy się tuczyć pragną z losem pogodzeni —
Lecz nad przyszłością naszą noc by zaszła głucha,
I naród by pozostał bez serca — bez ducha!

Że tak nie jest — to Twoja, o poeto — wina;
Więc potomność już wieniec splatać ci zaczyna —
I laur, który oddawna Tobie się należy,
W pośród nowych pokoleń — bierzesz z rąk młodzieży!

[1]) Wiersz ten napisany został na obchód, urządzany przez młodzież lwowską na cześć Słowackiego w r. 1879.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

O kwestji żydowskiej

z powodu książki Ks. Jana Gnatowskiego.

Poseł Kamienskij: Chcecie utrzymać poniżające przywileje dla wyznania chrześcijańskiego, chcecie wśród siebie mieć zdrajców!
Biskup Elogjusz: A bezwyznaniowość?
Poseł Kamienskij: Oczywiście, wasza ekselencjo, dojdzie do tego w przyszłości, że trzeba będzie uznać bezwyznaniowość.

Z rozpraw w 3-ej Dumie państwowej z dnia 14 czerwca 1909 roku.

Broszurę księdza Gnatowskiego o kwestji żydowskiej przeczytać należy: autor zajmuje pośród duchowieństwa katolickiego stanowisko wybitne i jest działaczem społecznym, którego głos ma w sferach konserwatywnych powagę i znaczenie, a po wtóre jest to rzecz pod każdym względem i wysoce charakterystyczna.

Zbyt mało badamy poglądy obozów nam nieprzyjaźnych i zbyt wyłącznie żyjemy w świecie własnych zapatrywań, zapominając, że jednym z kardynalnych warunków zdobycia bezstronnego sądu o jakiejkolwiek czy to społecznej, czy naukowej sprawie, jest poznawanie poglądów przeciwnika. Powinniśmy je poznawać dla pogłębienia swego stanowiska, dla uczynienia przeglądu własnych pojęć i doktryn oraz poważnego zastanowienia się, czy istotnie wszystkim argumentom ludzi, z którymi walczymy, możemy swoją rację przeciwstawić i w swych przekonaniach trwać niezachwianie. Badanie poglądów przeciwległych tym, które sami wyznajemy, jest zawsze korzyścią ogromną,gdyż strzeże nas od dogmatyzmu zabijającego kulturę i rozwój umysłu.

Jest rzeczą oczywistą, że poglądy przeciwnika muszą być godne poznania, żeby się móc nad nimi wogóle zastanawiać. I dowodzić nie potrzeba, że do kategorji niegodnych uwagi zaliczyć należy w pierwszym

rzędzie wszystkie te głosy, które nie płyną z dobrej woli. Ze złą wolą i nieszczerością spotykamy się nierzadko, słuchając, co mówi i patrząc na to, co czyni kler, lecz tego o księdzu Gnatowskim powiedzieć nie można.

Dlatego ze szczególnym zadowoleniem przystępuję do omówienia jego ostatniej pracy. Lecz nasamprzód — zastrzeżenie: zadawałbym sobie trud całkiem zbyteczny, gdybym się zastanawiał nad samymi założeniami książki; one wypływają bezpośrednio z kapłańskiego stanu autora, który w sprawach nie tylko religijnych, lecz i społeczno-narodowych przemawiać musi, jako duchowny. To, że autor widzi w katolicyzmie niepomierną wyższość nad judaizmem, a w konwersji żydów — ich zbawienie, to nie może nawet dać tematu do dyskusji. Cytować Heinego „Dysputę Toledańską" na tym miejscu nie przystoi, zaś wnikać w ten temat głębiej, niema celu, dla nas, ludzi postępu.

I jeszcze dla jednego względu nie jest w danym wypadku koniecznym zgłębiać zasadnicze stanowisko autora: jeżeli jakaś praca stanowi logiczną całość, a wszystkie wnioski i dyrektywy wyprowadzone są z założenia konsekwentnie, tak że dana rzecz nie zawiera sprzeczności, wtedy istotnie należy zastanowić się nad samym punktem wyjścia autora, o ile się pragnie wykazać że rzecz jest bez wartości. Tu jednak mamy do czynienia z nierozważnym biegiem myśli, których rozgałęzienia wzajemnie i jaskrawo sobie przeczą. Wystarczy więc tylko te kontradykcje pokazać.

Posłuchajmy wywodów księdza Gnatowskiego. „Stoimy wobec likwidacji idei" — oświadcza na samym wstępie — „okazała się złudzeniem, ale złudzenie to płynęło u wielu z miłości ojczystej czy przybranej ziemi."

Mowa o idei asymalacji żydów w Polsce.

I zaraz autor dodaje, iż trudno nie przyznać, że wszystko, cokolwiek ruch asymilacyjny pozytywnie przyniósł i co po nim dodatniego zostanie, stało się przez chrzest.

Dalej ks. Gnatowski pisze apoteozę neofitów żydowskich, którzy „wnieśli do społeczeństwa polskiego znaczny zapas energji życiowej, talent, pracę społeczną i szczery patryjotyzm: „A i któż — pyta autor — ośmieli się na serjo robić konwersjom z żydowstwa zarzut nieszczerości i samego tylko interesu? Kto się ośmieli? Ja, księże dobrodzieju, i do mnie podobni, ośmielimy się twierdzić, że fakt szczerego przejścia z judaizmu na katolicyzm należy do niepospolicie rzadkich. My lepiej znamy żydów... Zresztą ową interesowność usprawiedliwia sam... ks. Gnatowski i to w tej samej broszurze, tylko o czterdzieści pięć stronic dalej: „nie odbiera to nawet całej zasługi i tym, którzy asymilowali się dla widoków osobistych".

„W politycznych i społecznych kompromisach interes gra zawsze większą rolę od uczucia i za oportunizm nie godzi się nikogo potępiać" (str. 53).

To — kontradykcja pierwsza.

Jednak autor ma największy szacunek dla przechrztów i widzi „w znacznej falandze (nie tak znowu bardzo znacznej!) nawróconych z judaizmu w ostatnich dwuch pokoleniach ludzi znakomitych, będących nieraz ozdobą i ostoją społeczeństwa polskiego" i zarzuca pożałowania godną ciasnotę serca ludziom którzy tym dobrym polakom i szczerym katolikom wypominają ich semickie pochodzenie, jak hańbę!"

Co więcej, autor twierdzi, że ochrzczeni żydzi „wsiąknęli w nasze społeczeństwo i znaleźli się między nimi nietylko dobrzy Polacy, ale i pionierowie polskości." Lecz przeczytajmy inną stronicę, tę mianowicie, gdzie autor powiada, że „między duchową tradycją i kulturą żyda, a tradycją chrześcijańską jest przepaść nie do zgłębienia, są to poprostu odmienne wymiary" (str. 22) i jeszcze inną, gdzie pisze, że „im potężniejszym jest gienjusz żydowski, tym bardziej musi się on wszczepiać klinem pomiędzy duszę swego narodu a otaczającą go kulturę. Co między nimi wspólnego?" (str. 25).

To — kontradykcja druga.

Ksiądz Gnatowski boleje nad tym, że „owemu wczorajszemu żydowi, choćby chciał najszczerzej służyć przybranej ojczyźnie, choćby w żyłach jego obok żydowskiej płynęła krew chrześcijańska i polska (patrz wyżej o „odmiennych wymiarach"!), choćby był Mickiewiczem (to już jest egzaltacja!), przypomną jeszcze, że jego matka pochodzi z żydowskiego rodu." Nad tym, powiadam, ks Gnatowski boleje, gdyż sam nie jest antysemitą. Antysemityzm jest dlań „nie tylko ze stanowiska chrześcijańskiego błędem w zasadzie i grzechem ciężkim w jej praktycznym zastosowaniu, jest on pozatym i absurdem, jak absurdem jest sam przez się i asemityzm."

Autor potępia niechęć do neofitów, bo pamięta o rabinie Drachu, oficjale biskupa Dupanloup, i o błogosławionym Libermanie, podniesionym na ołtarze kongregacji N. Serca Marji i o ks. Teodorze Ratisbonne, jako też o jego bracie Alfonsie, założycielu podwójnego zgromadzenia Ojców i Sióstr N Panny z Syonu! Być może, że to są osoby wielce szanowne w oczach katolickiego Kościoła, to jednak nie wystarcza, by wspominaniem ich zwalczać do pewnego stopnia racjonalną niechęć do neofitów. Tak, racjonalną, bo płynącą właśnie ze świadomości, że konwersja ta odbywa się prawie zawsze dla interesu.

Ksiądz Gnatowski, powtarzam, nie jest antysemitą, gdyż mu jego chrześcijańskie uczucia każą nawet wroga traktować, jak bliźniego (st. 76).

Jednak znowu o cztery stronice dalej pisze, iż „zupełna równość praw, należąca do dogmatów zeszłowiecznego liberalizmu, w nowszych czasach zaczyna już być uważaną za przeżytek; najpostępowsi, najmniej o niej chcą słyszeć."(?)

I to jest kontradykcja trzecia.

II.

Okropną wydaje się autorowi walka żyda „z krzyżem Chrystusa i z przodującym w niesieniu krzyża Kościołem, a żyd z nim walczy „bo krzyż to zaprzeczenie jego idei i jego nadziei, to wyrok na jego przeszłość i na jego przyszłość" (st. 45).

Dobrze, że autor sam uznaje, iż „żyd jest takim, jakim go urobiła wiekowa niedola." Czy pamięta jednak, jaką w tej niedoli rolę odegrał Kościół katolicki? Czy nie brzmiał w ciągu całych wieków głos zwrócony do żydów: „chrzest albo śmierć." Czy to nie Kościół palił żydowskie księgi święte na placach publicznych? Czy nie zabijano setek i tysięcy żydów, idąc na nich strasznym pochodem i z krzyżem w ręku? Czy nie Kościół rzucał na nich oskarżenia potworne i kłamliwe? A Jan de Capistrano, Alfons de Spina, Ferdynand Martynez i tylu, tylu innych kierowników pogromów żydowskich, czy to nie katoliccy zakonnicy? A Torquemada? A Lojola i Caraffa. A całe dzieje Inkwizycji?

Tak, ten wieczny tułacz narodów, jak go sam, księże, nazywasz, przecierpiał tyle ze strony Kościoła katolickiego, że dla tego Kościoła z pokolenia w pokolenie przekazywał uczucie wzgardy.

On jeszcze słyszy głosy takich postaci, jak dominikański mnich Ferrer, który wkraczał w Sądny dzień do synagogi i z krucyfiksem w ręku obiecywał żydom w razie chrztu zaszczyty i bogactwa, zaś w razie oporu nędzę i przekleństwo.

On jeszcze widzi płomienie stosów na placu Quemadero w Sewilli.

On jeszcze pamięta wszystkie zbrodnie i chodzi do dziś przygarbiony między narodami.

I owa legienda o żydzie chwytającym krzyż i unoszącym go w górę, gdy rannemu mnichowi usunął się z dłoni, jest w stosunku do przeszłości dopraw-

dy absurdem, choć byłoby lepiej, gdyby stanowiła odbicie rzeczywistości, gdyby nastać mogła era wzajemnej, wielkiej tolerancji.

Kto zna dzieje prześladowań żydów, ten przyznać powinien, że jeśli oni nie uznali w Chrystusie wielkiego człowieka, to jest to przedewszystkim winą samego Kościoła, który im w ciągu stuleci pokazywał krycyfiks w szpetnym obramowaniu czynów nieludzkich. „Żydzi nie uznali wielkości Jezusa — mówił na wszechświatowym kongresie religijnym w Chicago 1893 roku rabin Lyon, profesor assyryologji w uniwersytecie Harwardskim — lecz tłumaczy się to prześladowaniem żydów przez tych, którzy go wielbią. Nie widzę powodu, któryby przeszkadzał żydom uważać Jezusa za jednego z wielkich nauczycieli ludzkości.”

Głosy papieży, jak Innocentego IV-go, Jana XXII, Klemensa VI, którzy stanęli w obronie żydów, ginęły w chórze tysięcy głosów katolickich dla żydów nienawistnych.

Więc cóż to za zarzut czyni duchowny katolicki żydom, że dla Kościoła przyjaźnie nie są usposobieni? O wszystkich tu wzmiankowanych faktach historycznych ks. Gnatowski nie wiedzieć nie może i w takim razie przeczy sam sobie, tymbardziej kiedy sam mówi, że „gdyby nawet legendy o wybrykach nienawiści żydowskiej i wrogiego chrystianizmowi fanatyzmu, były wszystkie bez wyjątku prawdziwe, nie mógłby się wtedy dziwić nikt obeznany z krwawymi dziejami Izraela.”

Więc jest to już kontradykcja czwarta.

Zresztą czy żydzi walczą z Kościołem? Czy walką nazwać można to, że jakieś parę procent ogółu żydowskiego stanowiące t. zw. inteligiencję żydowską lgnie do postępowców rdzennego pochodzenia? No tak; kler wszystkich narodów nazywa cały postęp „żydowską robotą” i to jest doprawdy za wielki zaszczyt dla żydów. Według ks. Gnatowskiego, na całym niemal obszarze Europy żydzi przodują prądom bezwyznaniowym. Owóż jest to ta judomanja, ta wieczna wizja straszaka żydowskiego. „Cała rzekoma moc żydów — mówi Zola, zwracając się do antysemitów — płynie z was samych, wy ją potęgujecie i wydaje wam się dlatego tak wielką; pokazując wiecznie narodowi jakiegoś straszaka, stworzyć możecie istotne niebezpieczeństwo.”

I tylko niemoc własna dyktuje przypisywanie całego, wielkiego postępu myśli ludzkiej garstce żydowskich działaczy, suggestjonujących jakoby całe klasy i grupy społeczne tych narodów, pośród których przebywają. Cóż to, czy luminarze współczesnej europejskiej myśli wolnej, Seailles i Buisson we Francji, Hector Denis w Belgji, Lecky i Foot w Anglji, Heckel w Niemczech, Ferrer w Hiszpanji, Ghisleri we Włoszech, Masaryk w Czechach, Świętochowski i Radliński w Polsce, czy ci pionerzy wolnej myśli są żydami?

Całkiem inny proces się odbywa: żydzi naogół nie wnoszą do narodów postępu, lecz względnie szybko jego postulaty przyjmują, a przyjąwszy — popierają, tym skwapliwiej, że postępowcy wszystkich krajów dawno już się odwrócili od nienawidzącego żydów Kościoła.

Zresztą tylko klerowi się wydaje, że całą i wyłączną treścią pracy postępowej jest antyklerykalizm i walka z wierzeniami religijnymi. Naturalnie, skoro innych dziedzin życia ludzkiego jakgdyby wcale nie widzą, więc wydawać im się musi, że owa walka treść postępowej pracy wyczerpuje.

Walka z Kościołem prowadzona w imię zasad wolności i demokracji musi się wydawać autorowi niezmiernie dziwną, gdyż, jak twierdzi, „hasłom wolności, równości, praw człowieka, ogłoszonym, choć nie wykonanym przez Wielką rewolucję, Kościół pozostał wierny na całym obszarze świata” (str. 64). Jeżeli jednak przypuścimy, że ks. Gnatowski nie może się nie solidaryzować naprzykład z ostatnią encykliką papieża Piusa X-go, przeklinającą zasady wolności i równości, to możemy w tym miejscu zanotować kontradykcję piątą.

Lecz to nie ostatnia.

(D. n.) *Józef Wasercug.*

Szczęście za morzami.

(Dokończenie).

Ciekawą ilustracją tego stanu rzeczy jest streszczone w *Ekonomiście* sprawozdanie ks. dr. Stanisława Sychowskiego proboszcza parafji Sliwice na Kaszubach, z podjętych przez niego prób zatrzymania obieżysasów na rodzinnej ziemi. Parafja ta „formalnie żyje z wychodźtwa do Niemiec, choć część młodzieży zarobek swój trwoni.” „Corocznie emigranci przysyłają rodzinom około pół miljona marek”...

Taki *smutny* i *niebezpieczny* pod względem narodowym stan rzeczy skłonił ks. Sychowskiego do poszukiwania dla swych owieczek zarobku w dzielnicach polskich. Udało mu się umieścić 700 ludzi na 17 różnych folwarkach w ks. Poznańskim i w Prusach zachodnich. „Nie obeszło się bez niezadowolnienia”, które wyraziło się nawet w 6 ciu folwarkach zerwaniem kontraktu i porzuceniem pracy. — Słuszność była po stronie robotników: „Przyzwyczajeni na Zachodzie Niemiec do specjalnych koszar robotniczych, a w domu do porządnych mieszkań—byli niezadowoleni z warunków mieszkalnych (brak łóżek, brud, robactwo, wilgoć, ciasnota) gdy robotnicy z Galicji i Królestwa. którzy zwykle w Poznańskim pracują, nie mają pod tym względem żadnych wymagań; dalej uskarżano się na złe obchodzenie, zbyt ciężką pracę dla dziewczyn, zbyt małą ilość pracy akordowej, nieregularność wypłat, na inne wymagania pracy niż na Zachodzie Prus i t. d. Zupełnie słuszny wprowadza stąd ks. Sychowski wniosek, że chcąc skłonić robotnika do pracy w kraju należałoby polepszyć i moralne i materjalne jej warunki.

Nie jest to jednak rzecz tak łatwa i prosta, jak się wydaje. Zmienić warunki — to znaczy zmienić charakter nietylko gospodarstw lecz i gospodarzy rolnych: — po prostu w sferze pracodawców wywołać postęp kulturalny, i obyczajowy równoległy do tego, jaki się dokonywa w sferze pracowników pod wpływem — wędrówek na Zachód. Okazuje się bowiem, że w tym samym czasie, gdy robotnik z Galicji i Królestwa przystosowuje się do gospodarczych stosunków poznańskich, — robotnik poznański idąc dalej, przyswaja sobie zachodnio-europejskie potrzeby i nawyknienia. Na tym właśnie polega *demoralizacja.*

Ewolucja zatacza jednak jeszcze szersze kręgi. — Pozostałe w kraju siły robocze zyskują możność lepszego spieniężenia swej pracy; zarobki podnoszą się w tych okolicach, skąd ludność emigruje, co potwierdzają zgodnie wszyscy nasi ekonomiści. Zamożność ludu wzrasta więc i na tej drodze, a dopiero emigracja wewnętrzna — jedyna, z którą takie instytucje społeczne jak Towarzystwo rolnicze poniekąd godzić się zaczynają — pośrednio rozszerza dobroczynne następstwa wychodźctwa na resztę kraju.

Istniejący przy Towarzystwie pracowników rolnych Wydział Najemników Sezonowych postanowił sobie przedewszystkim „uregulować ilość robotnika w kraju” zaś skierować zagranicę tylko „nadmiar robotnika miejscowego, którego już w kraju ulokować się nie da.” Przy takim zakroju trudno marzyć, by dany wydział mógł współzawodniczyć z agentami emigracyjnymi i ze szpon tych wyzyskiwaczy wyrwać *nasz biedny obałamucony lud.* I znowuż temu dziwić się nie można. Organizować wychodźctwo — to z punktu wi-

dzenia interesów ziemiańskich tyleż znaczy, co organizować strejki rolne — i na to przecież opiekunowie Tow. prac. rolnych: hrabiowie, wielcy właściciele, dzierżawcy i administratorowie rozległych majątków pańskich nigdy się nie zdobędą.

Nie mniejsze znaczenie dla gospodarstwa krajowego ma emigracja osadnicza. Gdyby nie ona, powszechny u włościan głód ziemi przy gęstości zaludnienia dochodziłby u nas do tragicznych rozmiarów, budziłby nieustanne ruchy agrarne, a marzenie o wywłaszczeniu i nowych działach byłoby równie powszechne i gorączkowe jak w Rosji — co zresztą również stwierdzali najpoważniejsi badacze tej sprawy. Można powiedzieć że niezajęte jeszcze pod uprawę obszary żyznej ziemi brazylijskiej stanowią dla naszej ludności rolnej rezerwę chroniącą od nadmiernego wzrostu cen ziemi i nadmiernego rozdrobnienia gospodarstw włościańskich. Jakkolwiek i tu interesy wielkich właścicieli wchodzą w kolizję z interesem drobnych gospodarzy, gdyż ludność małorolna dla bezrolnej stanowi najniebezpieczniejszą konkurencję na rynku pracy, — jednakże w pełnym znaczeniu urzeczywistnia się w tym wypadku twierdzenie prof. Caro, że emigracja jest „wentylem bezpieczeństwa w stosunkach społecznych."

Z tego punktu widzenia nasi obszernicy winniby błogosławić Paranę jako szczęśliwe ujście zewnętrzne dla głodu ziemi, który mógłby wybuchnąć w mniej pożądanym dla nich kierunku.

Czy jednak stąd wynika, że kraj nic nie traci przez emigrację?

Traci znaczną część swej ludności, że zaś na ogół biorąc, emigrują przeważnie ludzie młodzi, zdrowi, energiczni, do pracy uzdolnieni — nie zaś najsłabsi, ani nawet najbiedniejsi — jestto ubytek najcenniejszego materjału ludzkiego, a stąd wynika pewne osłabienie żywotności narodu.

Stale powtarzające się historyczne zjawisko, że na gruncie dawnych kolonji powstałe społeczeństwa przewyższają inne energją, twórczością i wydajnością kulturalną — tłumaczy się tego rodzaju doborem dokonywającym się przez wychodźctwo. I to jednak dla kraju macierzystego może nie stanowić bezwarunkowej klęski. Anglja, która dla gęstej ludności swych niewielkich wysp znalazła ujście szerokie we wszystkich częściach świata i rozszerzyła angielską kulturę i język na obie półkule, nie poniosła stąd żadnego uszczerbku. Nie można powiedzieć, że *traci* na ludności; raczej *zyskuje* na zajmowanych przez nią obszarach.

Trudno porównywać nasze warunki z angielskimi — ale nawet i u nas dużo jeszcze uczynić można dla zmniejszenia strat, a nawet zamienienia ich na korzyści.

Chcąc by ci, co kraj opuszczają, nie byli dla niego straceni, nie dość jest sentymentalnych, tkliwych napomnień o miłości rodzinnej strzechy, o obowiązkach dla ojczystego zagonu, — trzeba aby kraj macierzysty ze swej strony czynił co może, by ten cenny sentyment podtrzymać. Znałam rodziców tak niechętnie usposobionych dla jednego ze swych synów, że gdy zginął mając 3 lata — nie szukali go. Mając lat dwanaście był już nałogowym włóczęgą i przestał się w domu rodzicielskim pokazywać Takim bywa nieraz stosunek matki ojczyzny do emigrującego ludu polskiego.

Pozbawiony wszelkiej pomocy, opieki i obrony, wszelkiego poparcia i współczucia wtedy, gdy w pogoni za chlebem kraj rzuca, nie znajduje w nim żadnej moralnej ostoi i później, gdy pod wpływem tęsknoty zwraca się do niego o zaspokojenie wyższych potrzeb kulturalnych, w miarę jak ze wzrostem dobrobytu podnosi skalę swego życia.

Wskrzeszone na jesieni 1907 r. Polskie Towarzystwo Emigracyjne ma też niesłychanie ważne do spełnienia zadanie i jest nadzieja, że swą działalność pomyślnie rozwinie — sądząc po jej racjonalnych początkach.

Zupełnie naturalnym i uzasadnionym dążeniem jest obrona emigrującej ludności od wynarodowienia. [1]) W tym celu chronić ją trzeba przedewszystkim od rozproszenia, w czym naturalnie pomocnym jest bardzo instynkt gromadny naszego chłopa.

Przestrzeń dzieląca wychodźcę od ojczystego kraju jest wielkością względną. Dla człowieka oświeconego i piśmiennego odległość się zmniejsza. Mierzy się ona czasem potrzebnym dla otrzymania wieści z kraju w postaci listu lub gazety, gdy dla niepiśmiennego wyjazd jest absolutnym rozstaniem; żegnając kraj i rodzinę — umiera dla niej. Im wyższym poziom oświaty mas emigrujących — tym łatwiej utrzymać im łączność ze starym krajem. Leży to więc w interesie całego społeczeństwa, by w kolonjach polskich rozwijało się szkolnictwo ludowe i by ono pozostało polskim.

Wielkie niebezpieczeństwo dla niezmiernie licznych kolonji robotniczych polskich w Niemczech — leży w tym, że one nie mogą tworzyć własnych szkół. Z drugiej strony jednak trzeba oddać sprawiedliwość poznańskiemu społeczeństwu, że ono czyni, co w jego mocy, by łączność z nimi utrzymać. W ślad za robotnikiem polskim napływa inteligiencja: kupiec, ksiądz, redaktor, z czasem lekarz, adwokat. Powstają stowarzyszenia i pisma polskie — wprawdzie marnie prowadzone, bardzo kłótliwe, zawzięcie konkurujące między sobą — niemniej skupiające w koło siebie ludność polską i podtrzymujące trochę życia zbiorowego.

Bez porównania pomyślniejsze warunki są tam, gdzie polskie osadnictwo powstaje w krajach wolnych, ale czy czynimy coś ze swej strony, by te warunki wyzyskać? Czy zasilamy kolonje emigracyjne polskimi książkami, pismami? Czy kierujemy do nich odpowiednie siły nauczycielskie i talenty organizacyjne? Tu niepotrzeba nawet żadnej filantropji; przeciwnie: systematyczne podtrzymywanie i rozwijanie kultury polskiej w kolonjach byłoby dla kraju macierzystego dobrym interesem; musiałoby się tylko dokonywać planowo i na podstawie dokładnej znajomości stosunków. Danja przeniósłszy do swych zaatlantyckich kolonji wytwór swej kultury: uniwersytety ludowe, zbogaciła tym cennym nabytkiem Stany Zjednoczone, a stamtąd w zmienionej i przystosowanej do warunków formie rozpowszechniła się ta instytucja po wszystkich cywilizowanych krajach.

Skrępowani tysiącznymi ograniczeniami na polu oświaty i szkolnictwa ludowego na trzech czwartych obszaru „starego kraju", powinnibyśmy skwapliwie skorzystać z nowych a wdzięcznych terenów pracy, które dla nas lud polski zdobywa. W Paranie przed paru miesiącami kilka szkół ludowych było nieczynnych skutkiem braku nauczycieli. Dla pracy w odrębnych warunkach potrzebne byłyby jednak nowe typy pracowników, może nawet nowe typy szkół... a także nowe drogi i sposoby rozpowszechniania czytelnictwa, bibljotek ruchomych, kolportażu książek. Jakież to jednak wdzięczne i doniosłe zadanie dla naszych towarzystw oświatowych, dla takiego naprzykład Towarzystwa Kultury Polskiej!

I ludzi znaleźć by można. Ostatnia burza rewolucyjna rozproszyła po szerokim świecie mnóstwo jednostek dzielnych, ruchliwych, inteligientnych, odważnych. Zmarnowanie lub spożytkowanie tych sił

---

[1]) Wprawdzie w ostatnich dniach w „Przeglądzie krajowym" wygłosił p. Wieńczysław Pewski w dość zagadkowej formie nowe hasło „terytorjalizmu" jako „szczebel na drabinie ogólnego dobrobytu, porozumienia i postępu" — wolno przypuszczać jednak, że nawet redakcja „Prz. Kr." nie solidaryzuje się z tą zasadą, wedle której Polak miałby być obowiązany przejąć tę narodowość, wśród której mieszka, a zatym być Ukraińcem w Kijowie, Niemcem w Westfalji, Yankesem w Chicago, Brazylijczykiem w Paranie.

leży w mocy społeczeństwa; wykolejenie ich spada w pewnej mierze na jego odpowiedzialność.

Należałoby tak się zorganizować i zagospodarować, by wszystko co traci kraj macierzysty, zyskiwały jego rozsypane po świecie osady — a z czasem i one mogą mu się na różnej drodze wywzajemnić, zasilając go nietylko groszem lecz wyrobionym i zmężniałym materjałem ludzkim.

Emigranci niekiedy wracają. Wróciliby całą falą, gdyby nasze warunki polityczne i społeczne zmieniły się na korzyść, a wtedy staliby się niesłychanie cennymi współpracownikami w dziele odbudowy społecznej.

Tymczasem widoki ich powrotu pozostają w prostym stosunku do spójni duchowej z ojczyzną i do dobrobytu materjalnego. Nietylko oświata skraca odległości — ale także i zamożność. Wyprawa za morze jest dla bogacza miłą przejażdżką — dla biedaka taką samą utopją jak podróż na księżyc.

W naszym więc interesie leży, by jaknajmniej było „odstraszających przykładów”, by fala ludu polskiego płynąca za morze przestawała być tylko — jak często dziś bywa — postrachem miejscowego proletarjatu, jako najbardziej podatna do wyzysku wędrowna falanga „czarnoroboczych”, bezradny, bezsilny, niezorganizowany tłum marniejący w ciężkim znoju, którego nikt z miejscowych robotników podjąć się już nie chce.

W ostatnich miesiącach powstał w zaborze pruskim Związek robotników polskich, obejmujący całe Niemcy, a skupiający w sobie wszystkie dawniejsze polskie związki zawodowe. Taki związek może stać się potęgą i dać robotnikowi polskiemu oparcie, którego inaczej musiałby szukać w organizacjach obcych. Taki związek umożliwi mu obronę interesów ekonomicznych bez zrywania spójni narodowej — jeżeli tylko ta obrona interesów ekonomicznych będzie istotną i szczerą, a nie stanie się wyłącznie pretekstem do patronowania i kierowania, to jest—jeżeli robotnik nie będzie, jak mówi d-r Bernhard, przedmiotem lecz czynnikiem organizacji.

Takież same znaczenie z temiż zastrzeżeniami posiada dla nas organizacja ludu polskiego, gdziekolwiek go losy zaniosą. Zwarta masa wszędzie może stanowić siłę, jeśli jest oświeconą, zamożną i zorganizową, a silne i zdrowe osadnictwo —to dla pnia społecznego, nie zeschłe odpadki i kruchy chróst — lecz bujne pędy i gałęzie.

Jeśli na emigrację reagować będziemy tylko żałosnym a bezsilnym narzekaniem lub daremnymi próbami stawiania jej przeszkód — rozproszy się ona w rozsypce i wsiąknie w grunt obcy; jeśli ujmiemy ją w ręce i rozwiniemy planowo — będzie się rozrastać i rozgałęziać.

I. Moszczeńska.

Spór polsko-czeski na Śląsku.

Gdy ucichły echa uroczystości czeskich w Warszawie — cała prasa wypowiedziała się mniej lub więcej gorąco za objawami serdecznego zbratania się obu narodów — nadeszła chwila do szczerego wypowiedzenia, że owo zbratanie nietylko na toastowych mowach i wzajemnym darzeniu się grzecznościami polegać powinno.

Zanim przyszłość rozwiąże, czy i jakie realne korzyści ta nowo zawarta przyjaźń nam przyniesie — mamy prawo spodziewać się od Czechów życzliwego odnoszenia się do naszych spraw narodowych na Śląsku, gdzie właściwie najbliżej się z nimi stykamy. Tymczasem panują tam opłakane stosunki. Kiedy w kwietniu r. b. galicyjskie T-wo Szkoły Ludowej wraz ze śląską Macierzą Szkolną postanowiło otworzyć w Orłowej szkołę polską realną — okazało się, że nie ze strony władz niemieckich, jak to było przewidywane, lecz ze strony miejscowego zarządu gminy czeskiej, nastąpił stanowczy opór przeciw temu projektowi. Według sprawozdania czerwcowego zeszytu *Przeglądu Oświatowego*, Śląsk polskiej szkoły realnej dotąd nie posiada, jakkolwiek przeważa tam ludność polska, Czesi zaś mają aż 3 szkoły o kierunku realnym w Ostrawie, Frydku i Mistku. Doszło z tego powodu do bardzo przykrych starć — Czesi ustąpić nie chcieli, a na t. zw: konferencji ugodowej polsko-czeskiej w Wiedniu — sekretarz czeskiej rady narodowej wystąpił z propozycją: „zrzeknijcie się szkoły realnej w Orłowej a damy wam publiczną szkołę ludową w polskiej Ostrawie.”

Oczywiście jedno nie zastąpi drugiego. Orłowa jest położoną w samym centrum przemysłowym Śląska — liczy wraz z okolicą 60 tys: ludności polskiej, której dzieci w liczbie 10,687 uczęszczają do 145 klas. Szkoła realna jest koniecznie potrzebną, gdyż gimnazjum Cieszyńskie, o kierunku klasycznym nie zadawalnia miejscowej ludności. Wobec uprzemysłowienia Śląska kierunek realny przedstawia dużo więcej korzyści dla uczącej się młodzieży, nic więc dziwnego, że ludność tak bardzo pożąda podobnego zakładu. Obecnie dzieci uczęszczają do szkoły czeskiej, która oczywiście nie zastąpi im wykładów w ojczystym języku. Ponieważ zaś posady inżynierów i dozorców w zakładach przemysłowych zajmują przeważnie Czesi, robotnicy są jakoby zmuszeni posyłać dzieci do szkół czeskich, nie chcąc narażać się na „prześladowanie” zwierzchników; tak się wyraził robotnik tamtejszy na jednym z wieców.

Choćby w tych szczegółach było nawet trochę przesady — to jednak opór Czechów przeciw założeniu szkoły realnej w Ostrawie pozostaje wymownym świadectwem nienormalności tamtejszych stosunków. O jaknajszybszym załagodzeniu tej waśni należy poważnie pomyśleć. Śląsk jest terenem, na którym nieustannie ścierają się interesy obu narodów. — Czesi i słusznie zresztą—dbają o zachowanie swej narodowości, gdyż Śląsk stracony na rzecz Niemców, byłby niepowetowaną klęską — byłoby to odcięciem ich od Słowiańszczyzny. — Polacy słusznie znów czują się na Śląsku u siebie, gdyż zamieszkują go w przeważającej liczbie — i posiadają za sobą całą tradycję historyczną.

Należałoby zatym współżycie oprzeć na podłożu wzajemnej tolerancji, a zamiast czas i energję tracić na waśnie pomiędzy sobą — wspólnie wytężyć siły do walki z hakatyzmem.

Spór polsko-czeski, toczący się głównie o kwestję oświatowa dałby się bezwarunkowo rozstrzygnąć, przy wzajemnym zrozumieniu kulturalnych potrzeb obu narodów. Wszelkie rozgoryczenia i waśnie są tak dla Czechów jak dla Polaków niezmiernie szkodliwe, tym bardziej, że zwykle gdzie się dwuch kłóci — korzysta trzeci najsilniejszy, a nie ma wątpliwości, że skrupułów w danym wypadku mieć on nie będzie, i że właśnie w jego interesie leży sianie niezgody w obu narodach.

O tym i Czesi i Polacy pamiętać powinni — i szowinizm jednych i drugich ustąpić winien uczciwemu i rozumnemu pojmowaniu własnych dążności narodowych.

Oto na chwilę obecną najbliższe pole pracy zarówno dla Czechów jak dla Polaków, jeżeli ma być mowa o istotnym i szczerym zbrataniu się. — Słowa czeskiego dziennikarza Howorki, wypowiedziane na jednym z bankietów warszawskich „Kiedy nadchodzą drażniące wzajem wieści ze Śląska Cieszyńskiego, niech kierownicy pism grają rolę cenzorów i niech łagodzą i skrzętnie wymazują jaskrawe ustępy” są do-

wodem dobrych chęci. Należy je posunąć o krok dalej i nietylko w piśmie i druku leez i w czynach tępić objawy szowinizmu, którego — niestety — liczne płonki i u nas, ku szkodzie dobra ogólnego się hodują.

Anna Rosz.

NA DOBIE.

Początek roku.

Za kilka dni zaroją się ulice Warszawy uczącą się rzeszą, klasy napełnią się gwarem, zadzwonią szkolne klekotki — rozpocznie się nowy rok nauki i pracy.

Chłopcy i dziewczęta z pól, łąk i lasów przywiozą nowe zapasy energji i zdrowia, zasób wrażeń kształcących i wzmożony głód wiedzy.

Ach! jakie to szczęście dla nich, że mają szkoły, do których wracają jak do własnego gniazda—wesołe, swobodne, szczere, pewne życzliwej wyrozumiałości i serdecznego poparcia ze strony wychowawców. Jakie to dla nich szczęście, że mają szkoły, z których wygnano uczucie strachu i karjerowiczowską walkę o awans, czyli o stopnie, szkołę która karmi umysły a nie mustruję ich, w której nerwy zamiast chorobliwego naprężenia doznają miłej podniety — szkołę, która jest dalszym ciągiem domu rodzinnego a nie groźnym i nieufnym jego współzawodnikiem.

Dużo da się krytykować w naszych szkołach i dalibóg, nie szczędzimy sobie tej satysfakcji, a może i dobrze czynimy. Świadomość błędów jest pierwszym krokiem do doskonałości.. Czy jednak te głosy krytyki nie wywołują czasem rezultatów wręcz przeciwnych zamiarom, czy zamiast potęgować dążność do reform i ulepszeń nie osłabiają poczucia wartości tego, co już posiadamy, nie prowadzą do lekceważenia, tego co jest przecież elementarną podstawą wszelkiego dalszego postępu t. j. samego istnienia szkół, których wartość i kierunek od nas samych zależy?

Czy społeczeństwo nasze umie i chce wychowywać swoją młodzież? Czy jest gotowe na rzecz tej swojej funkcji rodzicielskiej ponosić też rodzicielskie ofiary? Czy ma dla dziatwy swej tyle troskliwości i przywiązania, by troski o jej rozwój nie odczuwać jako ciężar?

W ciężkich żyjemy warunkach i ciężko nam zdobywać nawet najskromniejsze środki dla zaspokojenia najelementarniejszych potrzeb. Elementarną potrzebą każdego narodu, pierwszym szczeblem na drodze do kulturalnego rozwoju, jak to nam niedawno przypomnieli nasi czescy goście — jest własne szkolnictwo. My go nie mamy; posiadamy tylko jego słaby zawiązek w postaci szkoły prywatnej. Bardzo to mało, bardzo to dalekie od pełnego ziszczenia naszych pragnień i uzasadnionych dążeń — ale i to już jest coś przecie. Grad zniszczył wiosenną ruń naszych pól, uratowaliśmy tylko jeden zagon; pielęgnujmy go tym troskliwiej, by plon jego starczył na przyszłe zasiewy. Nie o to chodzi, by poprzestawać na małym; w życiu jednostki to może cnota—w życiu narodu to napewno błąd; ale uczmy się dorabiać z małego. Zanim pomyślniejsza doba dziejowa pozwoli nam zająć pod uprawę całą niwę wychowania, tysiącem starań otoczmy pierwsze skromne początki naszej samodzielnej na tym polu pracy. Jeżeli w nią włożymy najtęższe wysiłki naszej woli, najjaśniejsze i najgorętsze promienie naszej myśli i naszych uczuć—to pod naszą pieczołowitą osłoną wyrosną i dojrzeją ci którzy stworzą z czasem całą wielką resztę.

m.

Rozpacz p. Straszewicza.

Pan Straszewicz warjuje z rozpaczy... Och! nie bierzmy tego dosłownie; jest to tylko frazes, przesada. Swoją drogą, gdy się podobnej przesady dopuszcza ktoś z przeciwników p. Straszewicza, — on nie waha mu się zarzucać potwornego, wstrętnego kłamstwa, zbrodni nawet!

My bądźmy sprawiedliwsi i skrupulatniejsi choć jesteśmy do tego obowiązani w mniejszym stopniu niż ci, którzy obwołują się prorokami trzeźwości, realizmu, którzy programowo karmią społeczeństwo higjenicznym choć wodnistym rosołem zdrowego rozsądku... Panu Straszewiczowi ten lekki napój — o dziwo! uderzył do głowy i zachwiał istotnie jego zwykłą umysłową równowagę — w sposób cokolwiek niepokojący.

Powodem bezpośrednim stał się zjazd młodzieży w Zakopanem i jego uchwały.

„Mądrość — powtarza autor za Comte'm — nakazuje współdziałać sile rzeczy, bo to przyspiesza tempo postępu, oszczędza pracy i cierpień".

Siła rzeczy — zdaniem p. Straszewicza — domaga się ustania bojkotu szkolnego; czy zechce twierdzić, że to przyspieszy tempo postępu?

Wiara Augusta Comte'a w wszechmądrą i wszechpotężną „siłę rzeczy" — trąci nieco mytologją. „Siła rzeczy" wywołała trzęsienie ziemi w Mesynie; czy współdziałanie z nią byłoby oszczędziło cierpień?. „Siła rzeczy" zalewa falami morskimi wybrzeża Holandji; czyż cały postęp tego kraju nie opiera się na przeciwdziałaniu jej? Jeżeli wola ludzka odnosi skuteczne zwycięstwo nad siłami przyrody, o ileż więcej waży w siłach społecznych, których integralną część stanowi?

Przystosowanie do warunków może być przystosowaniem wstecznym, etapem zagłady nie zaś postępu. Z badania „siły rzeczy" nie płyną żadne nakazy moralne, jedynie tylko techniczne, w danym razie taktyczne wskazówki. Obierać mylną taktykę dla chwalebnego celu, to nie jest zbrodnią w żadnym wypadku. A czyż środki taktyczne, stale stosowane przez obóz polityczny p. Straszewicza nie okazywały się stale zawodne i zgubne dla narodu? Kto nie wierzy, niech czyta ostatnią broszurę p Piltza, gdzie kronika naszego realizmu politycznego jest zarazem kroniką klęsk narodowych!

Pan Straszewicz chce, aby uznano bez dyskusji, że *dobro narodu* najoczywiściej wymagało wręcz przeciwnej uchwały, nie dopuszcza nawet, aby mogły być zdania podzielone; nie o pomyłkę oskarża młodzież i te stronnictwa, które ją poparły, lecz o zbrodnię! Na jakiej zasadzie? — darmo pytać.

Jak „siła rzeczy" i „dobro narodu" są u pana Straszewicza jakiemiś mitologicznymi bóstwami, których naturę on sam tylko przeniknął i obwieszcza, tak równie tajemniczo wygląda u niego „twarda droga pracy narodowej" — która jakoby tam miała się dopiero zaczynać, gdzie się bojkot kończy, jakaś „nadzieja lepszego jutra" zawarunkowana powrotem młodzieży do szkoły rosyjskiej.

Przetłumaczmy to na jaki bądź język europejski i sprobujmy, czy jakikolwiek naród uzna i zrozumie argumentację opartą na tym, że zrzeczenie się własnej szkoły a oddanie wychowania młodzieży szkole obcej ma być warunkiem odrodzenia narodowego, — początkiem pracy narodowej.

Można i należy dyskutować o wszystkim, krytykować wszystko; można uchwałę młodzieży rozpatrywać pod kątem użyteczności, celowości, praktyczności, można powstrzymywać od rozbijania głowy o mur, bo twardy — a czaszka ludzka bywa krucha — i to przystawało zupełnie do roli trzeźwego, praktycznego polityka *terre à terre*. Ale opierać nadzieje przyszłości na stwierdzeniu beznadziejności położenia — to już zbyt sztucznie sklejony sofizmat, a piętnować jako

zbrodnię to, że młodzież wierzy w swoje siły i siły narodu, że nie jest skłonną do starczej rezygnacji — to w zaślepieniu gniewu dopuszczać się krzywdy. U młodych taką zapalczywość można wybaczyć; od starszych, doświadczonych ludzi mamy prawo wymagać rozsądnej wyrozumiałości.

Jeżeli p. Straszewicz pozwala sobie piętnować pomyłki jako kłamstwa, to jakże my mamy nazwać jego twierdzenie, że „lud nasz nie jest zdolny do żadnej walki społecznej?”—słowa wypisane w r. 1909 — przez człowieka, który przeżył rok 1905!!

Ach! jakże byłoby dobrze, gdyby ci, co piętnują drugich, chcieli czasem sami uderzyć się w piersi!

Sprostowanie.

Otrzymaliśmy z prośbą o zamieszczenie następujący list:

W imieniu prezydjum Zjazdu delegatów towarzystw młodzieży polskiej w Zakopanym, upraszamy o zamieszczenie sprostowania niedokładnych informacji o Zjeździe, drukowanych na łamach *Prawdy* w postaci wzmianki w Nr. 32 z dn. 7 sierpnia, Obrady Zjazdu trwały przez 3 dni; 26, 27 i 28 lipca b. r. Na porządku dziennym były następujące kwestje: 1) Enuncjacje Zjazdu w sprawie bojkotu wyższych szkół rosyjskich w Królestwie i sprawa wyjazdów do Rosji. 2) Rozszerzenie praw dla abiturjentów i abiturjentek szkół polskich Królestwa. 3) Zorganizowanie pomocy materjalnej.

Poza tym poufnych zebrań zarówno młodzieży postępowej jak i „narodowej” odbyło się nie jedno, lecz kilka, gdyż chodziło o powzięcie w sprawie I cz. I punktu porządku dziennego uchwały jednomyślnej, która byłaby nakazem moralnym, obowiązującym ogół młodzieży polskiej. To też rezolucję, dotyczącą bojkotu wyższych szkół rosyjskich w Królestwie, przyjęto jednogłośnie; natomiast w sprawie wyjazdów do Rosji, jako spornej i podlegającej wątpliwościom, młodzież nie doszła do porozumienia i przeciwko uchwale większości „narodowej”, potępiającej wyjazdy do Rosji bardzo znaczna mniejszość postępowa założyła votum separatum.

Zjazd zagajali przedstawiciele stowarzyszeń, zajmujących się techniczną stroną organizacji Zjazdu, mianowicie Ogniwa, zjednoczenia towarzystw młodzieży polskiej w Austrji („narodowego”) i Lwowskiego komitetu organizacyjnego (postępowego). Mowy powitalne wygłosili również Daniłowski i Sieroszewski.

Nie wspomina też *Prawda* nic o dalszych punktach porządku dziennego, w których przeszły wnioski, uchwalające wyjednanie praw słuchaczy zwyczajnych na uniwersytetach galicyjskich dla abiturjentów i abiturjentek tych szkół polskich Królestwa, których patenty nie zostały jeszcze dotąd uznane w Austrji za równoważne z rządowymi. Uchwalono również zorganizowanie jaknajszerszej pomocy materjalnej dla młodzieży, wyjeżdżającej na studja zagranicę.

Z PRASY.



Z prasy polskiej.

* Ciężkie warunki, w jakich pracują robotnicy—emigranci w Ameryce północnej spowodowały cały szereg strejków o bardzo ostrym przebiegu. Polski *Przegląd Emigracyjny* w numerze 15-tym pomieszcza szczegółowe o tym sprawozdanie.

W rewirze przemysłowym około miasta Pittsburga pracuje około 10 tys. Polaków. Panują tam wprost straszne stosunki: płaca jest tak niską, że zaledwie chroni robotnika od głodowej śmierci Z tych nędznych groszy zarządy fabryk urywają za pomocą różnych kruczków znaczne kwoty; dzień roboczy bywa przeciągany za pomocą fałszywie nastawianych zegarów; robotnicy muszą pod grozą wydalenia z fabryki mieszkać w domach kompanji, opłacając bardzo wysokie komorne. Obejście majstrów i zwierzchników jest w najwyższym stopniu brutalne.

Ks. Toner, który był przez lat 19 proboszczem w Mac Kees umieścił w organie katolickim w Chicago przerażające szczegóły. Zapewnia on, że dola robotników jest stokroć gorsza od losu dawnych niewolników. Żony ich i córki muszą ulegać niemoralnym zachceniom majstrów i dozorców, pod prozą wypędzenia ojca czy męża.

Ludzie są tak przeciążeni pracą, że często się zdarza, iż wyczerpany i przemęczony robotnik pada zemdlony, wtedy zwierzchnicy nie pozwalają go nawet ocucić — jeśli zaś padnie martwy, nie wolno go odnieść do domu, ginie w murach fabryki i nie wiadomo, co się z nim stało, zarząd zaś, na interpelacje rodziny odpowiada, że nie ma obowiązku zajmować się obcymi ludźmi. Wielu znalazło śmierć w murach fabryki. Apatja i demoralizacja, z jednej strony, gwałt i wyzysk z drugiej, wytwarzają wprost potworne warunki. *Przegląd Emigracyjny* twierdzi, że ks. Tonera nie można posądzać o stronność. Wskutek życzliwości okazywanej robotnikom, został wydalony z zajmowanego stanowiska — powyższe sprawozdanie jest zupełnie prawdziwe.

Strejki wybuchnąć musiały, i miały krwawy przebieg; — padło wiele ofiar. Specjalna policja, utworzona przez zarządy fabryk oraz t. zw. komisja „State Constabulary” utworzona dla czuwania nad strejkującymi, dopuszczała się prowokacji dla wywołania gorszych rozruchów. Bezwzględność fabrykantów i barbarzyństwo władz występuje w tym straszniejszym świetle, że bunt robotników był jedynie rozpaczliwą reakcją głodową.

Między innymi stwierdził te nadużycia konsul austro-węgierski w Pittsburgu, baron Juljusz Bormanisza, który wystąpił w obronie robotników węgierskich. Według dochodzeń jego, jeden z robotników otrzymał 4 kor. 50 hal. za 45 godzin pracy.

Oczywiści Polacy tamtejsi może najbardziej są uciemiężeni, jako najmniej zaradni i niemający znikąd opieki.

Tak wyglądają stosunki robotnicze w fabrykach Pensylwanji, dodaje *Przegląd Emigracyjny*, kraju, który ze wszystkich stanów amerykańskich bodaj najbardziej pociąga naszych wychodźców. Wszyscy idą tam szukać dobrobytu i praw człowieka, zamiast czego wielu znajduje nędzę i upodlenie.

OFIARY.

Na Tow. Wpisów Szkolnych od hr. Aleksandra Ledóchowskiego rb. 6.

Na wpisy dla biednych uczniów pracownicy T-wa Nikopol-Marjupolskiego w Sartanie: pp. Z. Wasilewski rb. 10, F. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, S. Kleinsznek rb. 1, J. Tomaszewski rb. 1, S. Prauss rb. 3, B. Jankowski rb. 3, W. Cywiński rb. 2, S. Pilarski rb. 1, Z. Gorazdowski rb. 3, G. Weker rb. 3, J. Rzewnicki rb. 2, J. Worszyłło kop. 50, A. Milewski kop. 50, W. Lenk rb. 1, A. Kozikowski rb. 1, A. Paderewski kop. 50, L. Mierzyński kop. 50, S. Szczawiński rb. 1, J. Rajski rb. 1, A. Prokopowicz kop. 50, razem rb. 48, 50.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. R kopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.